



Zeszyty TŁUMACKIE



II PÓŁROCZNIK 2004

ISSN: 1426-4129

Nr 2 (34)

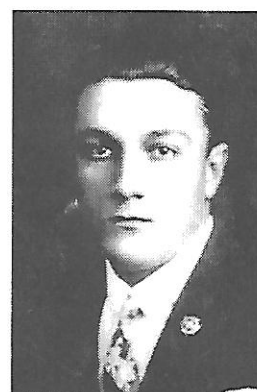
Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan - Wrocław



Dr Michał Nikosiewicz z portretem namalowanym przez Ewę Bilińską (Warszawa, maj 1994 r.)

ŻYCIORYS W FOTOGRAFIACH

Dr Med. Michała Nikosiewicza - Opiekuna Towarzystwa Tłumaczan.



1926 r.

Absolwent Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu



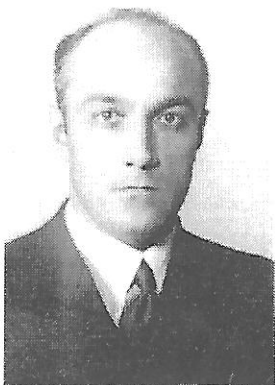
10.12.1932 r.

Absolwent wydziału Lekarskiego w Poznaniu



1936 r.

Ukończył również Akademię Wychowania Fizycznego we Lwowie



10.1936 r. we Lwowie

Po kampanii wrześniowej pracuje jako okulista w sowieckim szpitalu wojskowym. Udaje mu się zwolnić z tej pracy. Z początkiem grudnia 1939 r. przyjeżdża do Tłumacza na jedną noc, żeby pożegnać rodziców i przedostać się na stronę węgierską



1946 r.

Pracuje jako lekarz w 3 pułku Art. P.Lotn. w 3 Dyw. Karpackiej II Korpusu. W czasie kampanii włoskiej jest ranny, traci nogę. Po wojnie w Oksfordzie zdobywa specjalizację z zakresu okulistyki



1956 r.

Z Londynu powrócił w 1948 r. do Polski, do ekspatriowanych z Tłumacza rodziców mieszkających w Grodkowie na Dolnym Śląsku. Przeprowadzili się wszyscy do Wrocławia. Dr Nikosiewicz podjął pracę w Klinice Okulistycznej Akademii Medycznej. Siostra zaś podjęła studia na Uniwersytecie Wrocławskim. Po śmierci rodziców wyjechali z siostrą do Warszawy

**MIŁYCH I POGODNYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA, ORAZ POMYŚLNEGO ROKU 2005 W ZDROWIU, MIŁOŚCI I SPOKOJU ŻYCZY NASZYM CZYTELNIKOM, DARCYŃCOM, DROGIM TŁUMACZANOM
ZARZĄD OOT ORAZ REDAKCJA ZESZYTÓW TŁUMACKICH**

Drodzy Czytelnicy, Tłumaczanie.

Przypadł mi w udziale wielki obowiązek. Zostałam powołana do pełnienia funkcji Redaktora Naczelnego Zeszytów Tłumackich.

Mam nadzieję, że sprostam powierzonym mi obowiązkom i spełnię Wasze oczekiwania.

Do Rodziny Tłumackiej należę z racji pochodzenia mojej Mamy od urodzenia. Jednak prawdziwym i świadomym Jej członkiem stawałam się wraz z upływem czasu, poznając Was na spotkaniach Oplatkowych w Siedlakowicach i na zjazdach w Kołobrzegu.

Zachwyciła mnie Wasza ogromna miłość do Tłumacza, niezwykle ciepła, rodzinna atmosfera spotkań, wspaniałe kresowe poczucie humoru i nieustające pragnienie bycia razem choć przez chwilę. Zrozumiałam, że wartości, które przenieśliście przez czasy okrutnej wojny i okres późniejszego zakłamania, takie jak wiara w Boga, miłość do Ojczyzny, szacunek i miłość do Rodziców są niezwykle ważne w życiu współczesnego człowieka, a w szczególności każdego Polaka. Opierając się na takich wartościach można odważnie patrzeć w przyszłość, nie lękać się trudów i wytrwale budować nasze uczciwe życie.

Dziękuję Wam za to!!!

Elżbieta Niewolska



***Bóg się rodzi, moc truchleje;
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice nieskończony;
Wzgardzony okryty chwałą,
Śmiertelny Król nad wiekami:
A słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.***

***Podnieś rękę Boże Dziecię!
Błogosław krainę miłą
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę swą siłą,
Dom nasz i majętność całą,
I wszystkie wioski z miastami,
A słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami***

Do P.T. Czytelników

Informujemy, że z dniem 16.07.2004 kol. Danuta Tabińska-Juhasz przestała pełnić funkcję Redaktora Naczelnego Zeszytów Tłumackich.

Zarząd Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan, składa serdecznie podziękowania kol. D. Tabińskiej-Juhasz za wieloletnie redagowanie i twórczy wkład w Zeszyty Tłumackie, które stały się czasopismem środowiska kresowego Tłumaczan, na którego łamach mogli oni dzielić się swoimi wspomnieniami, problemami i wrażeniami ze zjazdów, spotkań okolicznościowych i wycieczek na kresy.

Zarząd

Wigilia, czyli polska szkoła geografii.

Fragmenty książki Jerzego Janickiego pt „Czkawka”

Przyszło mi właśnie na myśl, żeby porządkując rodzinne albumy, zaopatrzyć niektóre fotografie w informacyjne podpisy. No bo co tu dłużej ukrywać: cóż warto jest rodzinne zdjęcie bez komentarza, że ten pan w getrach to wujek Staszek, a ta pani w futerku i z zarękawkiem (tak się u nas obowiązkowo nazywało mufkę) to ciocia Zosia. Fotografia bez komentarza jest jak pacjent dotknięty amnezją; biedzący się nad nim medycy nigdy się nie dowiedzą, kim jest, kim był kto go rodził i pod jakim go szukać adresem.

Na razie ja jestem tym komentatorem. Jeszcze... Ale już całkiem niedługo, kiedy tą funkcją zostanie obarczony Filip, co powie oglądającym? Jakiś pan, jakaś kuzynka...? I już będzie za późno, już podłużny kartonik, co jeszcze niedawno tytułował się dokumentem, zdegradowany zostanie do stopnia anonimowej makulatury. Ot choćby ta pierwsza z brzegu fotografia. Obwieszona dokoła poźółkłym już marginesem, bo tylko dziś robi się odbitki do spadu, ale wtedy obligatoryjnie obowiązywał ten kołnierzyk marginesu nadto obrębiony w ząbki, do czego służyły specjalne przycinarki. Całość formatu sześć na dziewięć, najpewniej wykonana Leicą, bo tylko ten model dysponował już samowyzwalaczem, wszyscy wpatrzeni w obiektyw, za moment rozlegnie się syzczenie tłącej się błyskawicznie magnezji, potem gwałtowny błysk i pamiątka gotowa. Ta jest akurat pamiątką z Wigilii. Dwie tłące się pośrodku stołu świece tkwiące w lichtarzach, kieliszki na wino, wysokie, smukłe, do wina oczywiście białego, bo wyłącznie do ryb, wszak w ten wieczór mięs się nie jada, chyba jest już nawet i po kuti, bo brak na stole półmisek, salatek, sztuczków. Wokół członkowie rodziny. Wystarczyłoby zatem teraz wymienić każdego po kolei z imienia, dodać godność, jaką w hierarchii rodzinnej piastował, i uznać podpis za gotowy. Jeśli to ma być bryk, kompendium wiedzy o przodkach to przyszłemu dysponentowi tej fotografii powinno wystarczyć. Każdy Czech, Francuz czy Holender pewnie by na tym i poprzestał. Ale to fotografia rodem z polskich kresów. To nie jest jednowymiarowy obrazek, to steryczna diorama obyczajów i zarazem i pokrętnych losów kresowiaków z których niemal żadnemu nie przyszło umrzeć we własnym łóżku. Już nawet ten sam wigilijny obrzęd nie taki jak gdzie indziej. Tej Wigilii ze Lwowa, z Podola, z Pokucia nie da się porównać z żadną inną. Zaczniemy od banalnego pytania, że gdzie jeszcze takie zimy bywały, gdzie? Zdarzało się, że przez pryzmy zamiecionego na trotuar śniegu nie można było dojrzeć okien parteru. Ojciec o świcie wyjeżdżał z domu, bo pierwszym warunkiem elementarza tradycji to było wigilijne polowanie. Zachowały się i zdjęcia z takich łowów: grupka myśliwych przy saniach, a przed nimi, bo ja wiem - może trzydzieści, może i czterdzieści zajęcy, a jeszcze i dwa lisy, a i dzik do tego. Dziś kiedy mnie przyjaciel myśliwy obdarowuje przed świętami upolowaną zdobyczą, powiada, że łowy nadzwyczaj się udały, bo

sam strzelił dwa, a kolega nawet trzy zajęce. O tempora, o mores... Potem te szaraki wisiały sobie uwieszona za zadnie skoki za oknem, kruszejąc aż do Nowego Roku i do Trzech Króli, czekając na swe przeznaczenie, którym miały być pasztet i czomber z buraczkami.

A w ogóle nie żadna Wigilia, a - *Willia*, nie żadna choinka, a *drzewko*, nie żaden tam Mikołaj przynosił prezenty, a *aniotek*, nie dzielił się po prostu opłatkiem, a dwoma, zwykle w różowym kolorze, a co najważniejsze przełożonymi miodem. A ten korowód potraw, których już same nazwy pachniały jakąś madziarską pusztą albo Wiedniem, albo Czarnohorą. *Kutia*, *hyżki*, *sztrudel*... Mak na kutię tarło się nie w jakiejś tam misce, a w *makutrze* i nie wałkiem, a *makochonem*, a sztrudel piekło się nie w duchówce czy innym piekarniku, a w *bratrurze*. Ten sztrudel, po wielokroć zawijane ciasto, które wpierw nasze mamy rozciągały, tak długo nim wirując, aż osiągnęło prawie przezroczystą cienkość kartki papieru Otóż i ten sztrudel od niemieckiego *der Strudel* i ta *kutia* rodem gdzieś z Węgier, i ten *makochon* z *makutrą* - to razem wzięty sam w sobie przekładaniec, sztrudel właśnie spleciony z tyłu na raz kultur, obyczajów i ile się tam powiązało ze sobą dziejowych epok od ruskich aż po Najjaśniejszego Pana by zrodzić tę odrębność, cechującą nasze kresy południowo - wschodnie.

Jedno, jedyne wigilijne zdjęcie formatu ledwie sześć na dziewięć. Ale to tylko pozór, bo to format wymiaru panoramy, wielobarwny jakiś naraz landszaft, pedantyczny rejestr obyczajów, tradycji, ludzkich nawyków i przyzwyczajęń. Wigilia w naszym domu. Rok 1938. u szczytu stołu babcia Karolina spogląda spoza, chyba z dziecięć dioptrii liczących okularów. W kącie drzewko pod sam sufit oplecione kolorowym łańcuchem, który jeszcze parę godzin temu pletliśmy z Jadzią, mozolnie sklepiając ogniwa syndetikonem albo i kłajstrem wytworzonym z mąki mieszanej z wodą. Na ścianie obraz Setkowicza z obowiązkowymi saniami i końmi w hołoblach. Obok poroża koziołków - myśliwskie trofea ojca. Przy babci - ja w wieku lat dziesięciu, ojciec, stryjenka Jadwiga, a naprzeciwko nich - moja siostra Jadzia, mamusia. I stryj Staszek w idealnie zaprasowanych jak zwykle spodniach odślanających lakierki, chronione u góry getrami. Już nigdy w takim zestawie ani przy tym stole, ani w tym domu nie dane nam było zasiać razem. W pełnym tego słowa znaczeniu - ostatnia wieczerza na tej jednej fotografii można się śmiało uczyć historii najnowszej. I geografii świata przy okazji. W tym jednym pstryknięciu migawki utrwalił się mimochodem cały skrót tragedii kresowych rodzin, a ta odbitka o formacie sześć na dziewięć urasta nagle do rozmiarów mapy trzech kontynentów, bo aż przez tyle stron świata przetoczyły się dalsze losy jednej tylko rodziny.

Oto ten pan na zdjęciu po lewej - mój ojciec. Jego następna Wigilia to już Targowiste w Rumunii. Obóz dla internowanych polskich oficerów. Stał stamtąd pocztówki sygnowane nazwiskiem nadawcy: Zdzisław Rola. Ten tajemniczy Rola to był rodowy herb podolskich Janickich. Biedny nasz tata nie wiedział, że kartek w ogóle

pisać nie należało, bo były same w sobie donosem na adresatów, którzy od tej chwili podlegali automatycznie wywózce jako niebezpieczny element mający kontakty z zagranicą. Niestety należało również i odpisać. Niestety, bo zaraz pierwszej wojennej zimy opuściła nas Mama, o czym musieliśmy ojca powiadomić. Zmarła na zapalenie płuc, banalne przeziębienie, ale i kompletny brak najbardziej banalnych lekarstw. Wtedy już jako wdowiec jedzie nasz tata do Niemiec. Nie - jak pisał - do cioci Anieli i nie do cioci Frani, bo w tym czasie ciocia Roma zakochała się w Niemcach i trzeba było Targowiste zamienić na Dorsten. A na koniec oflag Dossel bei Warbug w Westfalii. I już nie żaden Zdzisław Janicki, a Kriegsgefangenen Nr. 366M E. Babcia Karolina. Osiemdziesiąt dwa lata. Jedna z ośmiu panien Polniakowskich. Jedna w jedną podolanki i każda o przemysłnym imieniu: jak nie Klementyna, czyli Klimcia, to Dyoniza, czyli Dozia, albo Wenencja - Wenia, innych już nie pamiętam. Nasza babcia nieustannie zmieniała adresy, bo dziadek był nauczycielem i wciąż go przerzucano ze szkoły do szkoły. A to Koniuchy pod Trembowłą, gdzie urodził się nasz ojciec, a to Pauszówka a to Kopyczyńce, Czortków Ostatni adres babci: semipałatyńska obłaś', rajon Nowaja Szulba, sowchoz Krasnyj Kazachstan. Tam pozostała na zawsze.

Stryjenka Jadwiga. Pierwszy wojenny adres ten sam

co babci. Latem zbierała bawełnę, zimą zeschnięte łąno baranie, którym palili pod kuchnią. W jednym z listów donosiła, że z zasuszonych owoców jarzębiny nanizanych na nitkę zrobiła różaniec i przebierając te paciorki, modli się o szczęśliwy powrót do domu i o rychłe spotkanie z mężem. A potem Persja, Egipt, Palestyna, Włochy, Anglia... Ani jedna, ani druga modlitewna prośba spływająca z paciorków jarzębinowego różańca nie została wysłuchana... Stryj Stanisław. Zamordowany przez NKWD. Przez pół wieku szukaliśmy go na listach katyńskich, Ostaszkowa, Starobielska. Bez skutku. I dopiero przed rokiem przypadek sprawił, że zbierając materiały do scenariusza, poznałem prokuratora Śnieżkę. To właśnie - pan Śnieżko przywiózł mi któregoś dnia rozwiązanie zagadki śmierci stryja. Był w grupie 42 rozstrzelanych jako dziesiąty w kolejności.

Statystyka. Wykazy, tabele, liczby, numery, które kiedyś były nazwiskami. Dwóch braci Janickich - Zdzisław i Stanisław - to już tylko numery. . adres babci - Kazachstan, stryja - Charków, ojca - Rumunia i Niemcy, stryjenki Persja, Palestyna, Egipt, Włochy, Anglia. Patrz na tę fotografię Filipie, i pomyśl tylko jakąż to dziś rodzinę - jedną zaledwie - stać by było na taką turystykę, żeby i Azję i Afrykę i Europę zaliczyć za jednym zamachem. A kiedyś bywały takie. Ale na to trzeba się było urodzić wyłącznie na kresach...



Wspomnienie o doktorze

Michał Nikosiewicz urodził się w Rohatynie 26.09.1907r. Przy rodzicach spędził swe młodzińcze lata. W 1925-1926 roku zdaje egzamin maturalny w Tłumaczu i przenosi się do Lwowa, gdzie rozpoczyna studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza. Po odbyciu studiów wyjeżdża do Poznania. Tam zostaje lekarzem

18 Batalionu Junackich Hufców Pracy (one podlegały Ministerstwu Spraw Wojskowych). Przed wybuchem wojny w 1939 roku zgodnie z rozkazem opuszcza transportem Poznań w kierunku wschodnim. W trakcie przemieszczania wybuch wojna, w czasie której po wielu perypetiach dociera do Lwowa. Tam podejmuje się zorganizowania filii szpitala Okręgowego. Po wkroczeniu wojsk sowieckich dalej pozostaje w służbie lekarskiej w tym szpitalu, do czasu obsadzenia stanowisk przez lekarzy sowieckich.

Zwolniony ze „służby” postanawia przedostać się na Węgry. W pierwszych dniach grudnia 1939r. przekracza granicę węgierską. Zostaje internowany. Przez Jugosławię po otrzymaniu paszportu w polskim konsulacie, już legalnie jako żołnierz z grupą jemu podobnych, statkiem został przewieziony do Syrii. Tam organizowała się armia „Lewantu” gen. Weyganda, przy której mia-

ła być zorganizowana Brygada Strzelców Karpackich. Wraz z organizowaniem się i przemieszczaniem oddziałów, jako lekarz pełni różnego rodzaju funkcje, w końcu zostaje lekarzem 3 Pułku Art. P. Lotniczej w 3 Dyw. Karpackiej II Korpusu. Bierze udział w kampanii włoskiej. Ciężko ranny w czasie walk o Bolonię przebywa w szpitalach we Włoszech, gdzie zastaje go koniec wojny.

Ewakuowany do Anglii wraca do zdrowia, niestety jako inwalida bez nogi. Do służby cywilnej odchodzi w stopniu podpułkownika, uhonorowany wieloma odznaczeniami bojowymi. W latach 1946-1948 zdobywa specjalizację z zakresu chorób ocznych w Londynie i w Oksfordzie, zakończoną egzaminem z prawem praktyki na terenie Wielkiej Brytanii. W końcu sierpnia 1948 r. wraca do kraju i osiedla się we Wrocławiu podejmując prace w Akademii Medycznej we Wrocławiu

Po kilku latach przenosi się do Warszawy, pracując w swoim zawodzie, do przejścia na emeryturę. Dr Michał Nikosiewicz po powrocie do kraju bez przerwy szukał Tłumaczan, których losy wojny rozproszyły nie tylko po kraju. Był jednym z organizatorów spotkań dawnych mieszkańców naszego małego miasteczka. Skrzętnie gromadził wszelkie tłumaczana. Prowadził korespondencję z krajanami i wręcz żądał od nich relacji z przeżyć, opisów ich losów. Gromadził też fotografie z życia Tłumacza.

Przetłumaczył napisaną przez dawnego mieszkańca Tyśmienicy Shlomo Blonda, wydaną w Izraelu w języku jidysz i angielskim książkę „The Righteans Gentiles” Sprawiedliwi, prawi nie Żydzi. Dzięki temu druku-

jąc ją w ZT w kolejnych odcinkach, poznaliśmy los nie-licznych ocalałych z zagłady żydowskich obywateli naszego miasteczka. Pozostawił pokaźny zbiór relacji Tłumaczan i albumów z fotografiami, które przekazał Oddziałowi. Dzięki Jego mrówczej pracy, wiele artykułów i zdjęć, mogło ukazać się w Zeszytach Tłumackich. Nieodżałowanej pamięci dr Michał żył starym Tłumaczem, interesował się nie tylko przeszłością, ale też losem i ży-

ciem nas, byłych mieszkańców. Do końca utrzymywał stały kontakt ze społecznością tłumacką.

18 lipca w Warszawie odszedł na wieczną wartę.

26 lipca 2004r. na cmentarzu na Wólce Węglowej żegnała Cię Doktorze nieliczna grupka tłumaczan, weteranów II Korpusu i przyjaciół. Odszedłeś, ale wśród nas pamięć o Tobie pozostanie zawsze.

Tłumaczanie

Dr Med. Michał Nikosiewicz zmarł 18.07.2004 r. w Warszawie przeżywszy 96 lat.



W pogrzebie udział wzięli od lewej: Janina Sokołowska-Kubica, Danuta Tabińska-Juhasz, Ryszard Macek z żoną Adzia Słotarska-Marcinowska, Rysia Dębiec-Kasperowicz

W dniu 26.07.2004 r. na Cmentarzu komunalnym Północnym - Wólka Węglowa po uroczystej Mszy Żałobnej urna z prochami została złożona w grobie (kwatery W XI 10 - 1 - 10) gdzie już spoczywają, siostra Janina Nikosiewicz (nasza nauczycielka z Tłumacza i Grodkowa), żona Barbara Nikosiewicz (Dziekan Akademii Muzycznej w Warszawie)

W imieniu Tłumaczan pożegnała dr v-ce prezes OOT mgr Danuta Tabińska-Juhasz.

Drogi Nasz Doktorze!

W imieniu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan chciałam Cię pożegnać i zapewnić jak wszyscy żałujemy, że nas opuściłeś.

Przybyliśmy tu ze ściśniętym sercem i ze łzami aby towarzyszyć Ci w ostatniej drodze.

Jak to się stało, że nie mając własnych dzieci osierociłeś jednak całą rzeszę Twoich krajanów - Tłumaczan, którzy zawsze będą Cię pamiętać.

Byłeś bowiem dla nas najlepszym Ojcem i przywódcą Duchowym.

Nauczyłeś nas jak kochać swoje rodzinne strony, szanować przeszłość i integrować się w pokoju i miłości. Pozostawiłeś naszemu Towarzystwu interesujące zbiory dokumentów, fotografii dot. naszych kresowych stron. Przyrzekamy, że Twoja wieloletnia mozolna praca nie pójdzie na marne. Będziemy ją nie tylko szanować, ale też postaramy się publikować i zainteresować tym tematem następnego pokolenia.

Byłeś nadzwyczajnym Człowiekiem, wielce zasłużonym o życiorysie przepełnionym wydarzeniami historycznymi ostatniej wojny światowej.

Nie potrafię tu wymienić licznych Twoich odznaczeń i osiągnięć bojowych. Po zawierusze wojennej powróciłeś do kraju by swoją wiedzą lekarską służyć wyniszczonym wojną rodakom. Twoje długie życie jakże pracowite, było zawsze poświęcone innym. Dla nas pozostaniesz wzorem prawego człowieka, Polaka - patrioty.

Niech Ci ta warszawska ziemia lekka będzie !!!

Kresowi Ormianie

Danuta Tabińska-Juhasz

Na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej w moim rodzinnym Tłumaczu, o którym ruski kronikarz Nestor napisał, że osada istniała tu już w 1144 roku - podobnie jak w innych małopolskich miasteczkach od wieków obok Polaków i Rusinów żyli Ormianie.

Do dzisiaj, po wielkim kataklizmie II wojny światowej, po ekspatriacji, utrzymuję bliski kontakt i cenię sobie bardzo przyjaźń mego rodaka z Tłumacza, Ormianina, dr Michała Nikosiewicza (mieszka od lat w Warszawie). Jest on żywą kroniką naszego miasta i prywatnym dyrektorem największego chyba w Polsce tłumackiego archiwum. Wizyta w jego mieszkaniu to wejście w świat

mego tłumackiego dzieciństwa, odnajdywanie na starych fotografiach twarzy ludzi, których pamięć zatarła i która nadal żyje w wydarzeniach radosnych i smutnych, mówią o niej zgromadzone przez dr Nikosiewicza listy, pamiątki, świadectwa i różne dokumenty oraz wspomnienia pisane po wojnie przez tłumaczan.

Dzięki właśnie tym zgromadzonym materiałom tłumaczanie wydają już drugi rok swój kwartalnik pt. „Zeszyty Tłumackie”. Dr M. Nikosiewicz z wykształcenia jest lekarzem, okulistą. Jemu również zawdzięczamy integrację społeczności tłumackiej, był on bowiem inicjatorem zjazdów tłumaczan. Dało to początek zarejestrowaniu przed prawie 10-ciu laty Klubu Tłumacz przekształconemu w roku ubiegłym w Ogólnopolski Oddział Tłuma-



Rok 1990 - Jesienne spotkanie Tłumaczan w Warszawie w mieszkaniu Kol. Rysi Dębiec-Kasperowicz.

Od lewej siedzą: zona doktora Barbara, M. Nikosiewicz i Danuta Ta-
bińska-Juhasz

czan z siedzibą we Wrocławiu. Postać dr M. Nikosiewicza - Ormianina, tak już zasłużonego dla ziemi tłumackiej wymaga odrębnego opracowania.

W Tłumaczu, oprócz rodziny Nikosiewiczów, żyli,

mieszkali i pracowali inni Polacy - Ormianie: Moszoro-
wie, Mojsewiczowie, Isakiewiczowie, Agopsowiczowie,
Jakubowiczowie. W powiecie tłumackim aż po Horoden-
kę, Ottynię, Niżniów były rozsiane majątki ziemskie na-
leżące do Ormian. W czasie „pierwszych sowietów” po-
dzielili oni losy polskiego ziemiaństwa z tych terenów.
Byli aresztowani, a rodziny ich wywożone na Sybir. Nig-
dy już nie powrócili do swojej ojcowizny - majątków ma-
lowniczo położonych na ziemi zadniestrzańskiej.

Natomiast dr M. Nikosiewicz kilkakrotnie po wojnie
odwiedzał Tłumacz. Był serdecznie goszczony przez
swoich ukraińskich kolegów gimnazjalnych. Oglądał po-
wojenne zniszczenia miasta, bolał nad brakiem budyn-
ków takich jak: kościoła, szkoły, poczty, stacji kolejowej
itp.

Cieszył się jednak rozbudową Tłumacza, szczególnie
dużego powiatowego szpitala ze specjalistycznymi od-
działami oraz dużej szkoły technikum zawodowego.

Ostatnio w każdej rozmowie dopytywał się o możli-
wość zorganizowania wspólnej wycieczki do Tłumacza.

Chociaż zwiedził całą Europę, jednak zawsze tęsknił i
marzył żeby jeszcze raz zobaczyć swoje miasto.

Pamiętne, Ważne Rocznice

65 rocznica „4 rozbioru Polski” Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo

Fragment „Rozprawy historyka z historią” pt. „Europa” N. Davisa

„[...] Na początku roku 1939 Hitler wciąż jeszcze skła-
niał się ku jakiejś formie ugody z Polską. Trzy tygodnie
po spotkaniu w Monachium wezwał do Berchtesgaden
polskiego ambasadora i przedstawił mu istniejące moż-
liwości. Był to moment kulminacyjny długich przygo-
towań, które kosztowały Göringa kilka myśliwskich wy-
praw do polskich lasów i które kazały komunistycznej
propagandzie zakładać, że przymierze hitlerowców z
Polską jest już faktem. Propozycje Hitlera opierały się
na założeniu, że Polacy zrezygnują z praw do Gdań-
ska i zezwolą na przeprowadzenie na terenie Polski au-
tostrady łączącej Berlin z Królewcem, będą mogli wejść
w bardzo korzystny układ polityczny i gospodarczy, wy-
mierzony przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Ukrytej
groźby nie trzeba było ubierać w słowa. Gdyby Polacy
okazali się dość niemądrzy, żeby odmówić, Hitler i tak
odbierze im Gdańsk po czym poszuka gospodarcze-
go i politycznego porozumienia z ZSRR, wymierzone-
go przeciwko Polsce. Należy zakładać, że dobrze zna-
ne rasowe i ideologiczne uprzedzenia Hitlera kazały mu
się spodziewać szybkiego przyjęcia warunków. W koń-
cu skoro polscy pułkownicy musieli znosić u siebie naj-
większą w Europie społeczność Żydów i skoro Polska

była zażarcie antykomunistyczna, musiało mu się wy-
dawać, że Polska i hitlerowskie Niemcy są oczywisty-
mi partnerami. Niestety, ani Hitler, ani jego doradcy nie
wiedzieli zbyt wiele o nastrojach i postawach w Polsce.
Nie wiedzieli, że polski nacjonalizm jest tak samo wro-
go nastawiony do Niemiec jak do Rosji. Nie wiedzieli, że
polscy pułkownicy mogą zechcieć bronić własnego spo-
sobu traktowania kwestii żydowskiej, zwłaszcza jeśli za-
czą się do niej wtrącać cudzoziemcy. Przede wszyst-
kim zaś, nie rozumieli, że reakcja spadkobierców mar-
szałka Piłsudskiego będzie zupełnie inna niż reakcja
Chamberlaina i Beneša. Pułkownicy nie mieli zamiaru
kłaniać się przed byłym austriackim kapralem. In-
stynkt kazał im walczyć i polec w walce. Każdy bez wy-
jątku polski urzędnik państwowy, któremu w 1939r przy-
szło mieć do czynienia z faszystowskimi i sowieckimi
pogróżkami, wychowywał się na moralnym testamen-
cie marszałka: „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycię-
stwo [...]”.

O świcie 1 września niemieckie oddziały wdarły się
na teren Polski od północy, zachodu i południa. Pol-
skie przygraniczne linie obrony okrażono. Warszawa
pozostawała otoczona od 9 września. Ludność cywil-
ną wystawiono na bombardowania o nie spotykanej do-
tąd skali. Za linią frontu działała niemiecka piąta kolum-
na. Na tyłach pojawiły się faszystowskie Einsatzgrup-
pen, które strzelały do stawiających opór, do marude-

rów i do Żydów. Nadlatujące z rykiem sztuczki niszczyły linie kolejowe, drogi i mosty, razem z tłumami zapelniających je uciekinierów. Warszawa na pół obrócona w stertę ruin, szykowała się do długiego oblężenia. Armia polska przegrupowała się na południowym wschodzie dla obrony Lwowa, szykując się jednocześnie do stanowczego kontrataku w centrum nad Bzurą. 15 września faszyci nadali fałszywy komunikat, że Warszawa padła. (Trzymała się jeszcze dwa tygodnie). Ale Stalin mógł pomyśleć, że okazja mu się zaczyna wymykać z rąk. Cios padł 17 września, kiedy oddziały Armii Czerwonej przewaliły się przez wschodnią granicę. Wprowadziły totalny zamęt, nadając swoje własne fałszywe komunikaty, z których wynikało, że przychodzą ratować Polskę przed faszystami. Tymczasem ruszyły wprost ku ustalonej linii demarkacyjnej na Bugu oraz na południe, żeby zamknąć granicę z Rumunią i Węgrami. Niemcy i Sowieci zorganizowali w Brześciu wspólną defiladę dla uczczenia zwycięstwa, po czym przeszli do ustalania szczegółów.

Niemiecko - sowiecki układ o przyjaźni, współpracy i podziale strefy interesów, podpisany 28 września, szedł o wiele dalej niż pakt z przed pięciu tygodni. Na nowo wytaczał linię demarkacyjną, umieszczając Litwę w strefie sowieckiej, w zamian za kawałek środkowej Polski. Zawierał także kolejny tajny protokół, który przewidywał metody wspólnego przeciwdziałania polskiej „agitacji”. Środki te wprowadzono w praktykę, kiedy ostatecznie poddała się Warszawa. Rząd polski udał się na wygnanie. Liczne polskie oddziały albo wycofały się do lasów albo za granicę. Ostateczna kapitulacja nastąpiła 4 października - w dniu w którym Hitler przyjechał do Warszawy, żeby przyjąć salut od swoich pełnych uwielbienia legionów. Wszystko na wschód od Bugu zabrali Sowieci.

Podwójna okupacja Polski stworzyła, jedno obok drugiego, dwa laboratoria totalitaryzmu. Przez dwa lata hitlerowskie i sowieckie sępy spokojnie żerowały na powalonym ciele Polski. W strefie niemieckiej dzielnice zachodnie zostały przyłączone do Rzeszy i poddane dotkliwemu reżimowi oczyszczania rasy i germanizacji. Wszystkie inne dzielnice włączono do tzw. Generalnego Gubernatorstwa pod zarządem SS i wojska. Ta „Gestapolandia”. Która nie podlegała ani polskiemu ani niemieckiemu prawu, stała się głównym poletkiem doświadczalnym dla faszystowskiej ideologii. Była to jedyna część okupowanej Polski, gdzie dążąc do zapewnienia sobie Lebensraum na wschodzie - faszystowscy projektanci mieli czas zastosować swoją rasistowską politykę z całą energią i w stosunku do całej ludności. Po pierwszej inspekcji przeprowadzonej przez Himmlera ludzie starzy i umysłowo upośledzeni zostali zabrani ze szpitali, a sierocińce przeszukano, wybierając dziewczęta i chłopców nadających się do realizacji programu, mającego na celu poprawę rasy. W Majdanku i Oświęcimiu zbudowano obozy koncentracyjne, do których mieli trafić działacze polskich sił oporu. W bezlitosnym akcie ludobójstwa wybrano około 15 tysięcy polskich intelektualistów, urzędników państwowych, polityków i księży, których zamordowano lub wysłano do obozów koncentracyjnych. Od końca 1939 roku liczna społeczność polskich Żydów musiała się przenieść do określonych dzielnic, w których utworzono getta - stopniowo

otaczane murami, zamykane i przeznaczone wyłącznie dla Żydów; do zarządzania gettami pod nadzorem hitlerowców powołano żydowskie samorządy, wspierane przez oddziały żydowskiej policji.

W sąsiadującej z niemiecką strefie sowieckiej zainscenizowano fałszywe referenda, które miały uzasadnić twierdzenie, że „zachodnia Białoruś” i „zachodnia Ukraina” opowiedziały się za przyłączeniem do ZSRR. Ta „GPUlandia”, która pozostawała odcięta kordonem od reszty ZSRR, została poddana szalejącemu z całą siłą stalinowskiemu terrorowi. Około czterdziestu kategorii ludzi - od policjantów do filatelistów - przeznaczono do natychmiastowych aresztowań i deportacji. W lecie w 1941 roku liczba osób wywiezionych albo do obozów pracy w strefie polarnej, albo na przymusowe wygnanie do Azji Środkowej sięgała już od jednego do dwóch milionów. Terror skierowany był nie tylko przeciwko wszystkim byłym polskim urzędnikom państwowym - z wiejskimi nauczycielami i leśnikami włącznie - ale także przeciwko wszystkim organizacjom społecznym Białorusinów, Ukraińców i Żydów. Narodowości, które rzekomo „zostały wyzwolone spod polskich rządów” padały ofiarą prześladowań równie okrutnych jak wszyscy inni. W akcie bezlitosnego ludobójstwa około 26 tysięcy polskich jeńców wojennych - głównie oficerów rezerwy, a więc intelektualistów, polityków i księży - zabrano do obozów i rozstrzelano podczas kilku akcji masowych morderstw, zwanych pod wspólną nazwą Katynia.

Nigdy nie ustalono, jak dalece sięgała w tamtych latach współpraca między SS, a NKWD. Faszystowskie dokumenty zaginęły; sowieckie archiwa zamknięto. Wiadomo jednak, na przykład, że w kwaterze głównej SS w Krakowie aż do 1941 roku przebywał wysokiej rangi sowiecki oficer łącznikowy. Delegacje faszystowskie i sowieckie spotykały się na wspólnych konferencjach; wymieniano więźniów; faszystowska i sowiecka propaganda działała unisono i pełną parą. Po 24 sierpnia prasa sowiecka zmieniła wcześniejszą politykę i zaczęła cytować „Volkischer Beobachter” jako wiarygodne źródło informacji. „Prawda” oznajmiła, że „przyjaźń niemiecko - sowiecka została teraz scementowana na zawsze”.

Niemoc zachodnich mocarstw z pewnością była dla Hitlera i Stalina zachętą. To, co pewien francuski polityk nazwał „zabawną wojną” - było zabawne tylko dla tych, których bezpośrednio nie dotyczyło. W ciągu 20 miesięcy od upadku Polski pokonanych miało zostać 13 krajów Europy: osiem przez Hitlera, pięć przez Stalina. W dniu 30 listopada 1939 roku Stalin wysunął się na czoło, wysyłając Armię Czerwoną do Finlandii.

Rok 1939

W powiecie tłumackim (woj. stanisławowski)

Fragment „Szkicu do historii Tłumacza i powiatu z lat 1939-1945” opracowanego przez dr Michała Nikosiewicza na podstawie wiadomości zebranych z nielicznych danych drukowanych, ze spisanych wspomnień byłych mieszkańców, relacji z rozmów i innych dostępnych źródeł.

Stosunki polsko - niemieckie zaczęły ulegać pogor-

szeniu, wszystko wskazywało na to, że może dojść do konfliktu. Pierwsze przygotowania podjęte ze strony władz polskich - to częściowa mobilizacja (tzw. „cicha kartkowa”) zarządzona w miesiącu kwietniu 1939r. W tłumaczu w tym okresie nie było garnizonu wojskowego, ani RKU, dlatego też powołaniem do służby wojskowej zarządzała RKU w Buczaczu. W kwietniu 1939r. tylko część mężczyzn została powołana do wojska do pułku piechoty (48 pp) w Stanisławowie, (49 pp) w Kołomyi, 6 Pułku Ułanów w Trembowli oraz do innych broni i służb. Mobilizacja ogólna ogłoszona w przeddzień wybuchu wojny była wyraźną jej zapowiedzią. W mieście Tłumaczu i w powiecie nie powołano tych mężczyzn, którzy nie podlegali obowiązkowi służby wojskowej ze względu na stan zdrowia, wiek lub z racji pełnionych obowiązków. Byli to członkowie takich organizacji jak „Związek Oficerów Rezerwy”, „Związek Legionistów” i „Peowiaków”, „Związek Inwalidów Wojskowych i Wojennych” „Strzelca”, pracownicy urzędów takich jak Poczta, PKP, Straż Pożarna oraz Sokół, PW w liceum i gimnazjum. W hufcu szkolnym gdzie należała młodzież od 16 do 18 lat dowódcą był w tym czasie por. „Strzelca” Chrzanowski, zastępcą por. rez. Michał Dębiec (dyr. szkoły podst.) a komendantem PW i WF na cały powiat - kpt Wilczewski.

W 1939r zorganizowano w Tłumaczu miejscowe pomocnicze jednostki wojskowe obrony narodowej. Czyniono przygotowania do wojny. Kopano schrony, zaklejano okna, stosowano zaciemnienie, szyto maski. Ze względu na ochronę przed ewentualnymi napadami i sabotażami ze strony ludności ukraińskiej zorganizowano jednostki „PW”. Zorganizowano także Kompanię Obrony Narodowej (pod dowództwem kpt Wilczewskiego) do ochrony budynków rządowych, mostów, itp. Do kompanii wcielono obywateli narodowości polskiej miasta Tłumacza oraz powiatu i rozpoczęto szkolenie na „stawiskach”.

27 VIII 1939r powołano oficerów rezerwy. Zawieszono naukę w gimnazjum, zorganizowano oddział „PW” pod dowództwem dyrektora Michała Dębca. Plutonem dowodził Kajetan Agopsowicz. Do oddziału zgłosili się chłopcy w wieku 16 - 19 lat (Zygmunt Kłonowski, Henryk Kobusiak, Jan Lipiński, Dzidek Seidler i inni) Wykorzystywano ich do pełnienia nocnych służb patrolowych, którą pełnili do 19 09 1939r. W ramach obrony przeciwlotniczej na dachu Sokoła zbudowano wieżę obserwacyjną z połączeniem telefonicznym. Na tym punkcie obserwacyjnym służbę pełnili m.in. Kazimierz Kaczorowski, Jan Cendro, Rudolf Kumer i Stanisław Dyś. W szeregach oddziałów „PW” dużą część stanowili członkowie młodzieżowej organizacji „Orląt”.

Wojsko w tym czasie ubezpieczało przejścia na Dniestrze między Haliczem i Uścieszkiem. Mosty pod Niżniowem zostały zaminowane przez saperów, a oddziały

w pełni zdolne do walki skoncentrowano w rejonie Horodenka - Tłumacz pod rozkazami gen. Paszkiewicza. Miejscem postoju dowództwa był Stanisławów, a pozostałych oddziałów - Kołomyja.

Tłumacz, miasteczko położone daleko od rozpoczętych działań wojennych wydawało się miejscem bezpiecznym w pierwszych dniach września 1939r.

Dnia 17 IX 39 r nadeszła zaskakująca i straszna wiadomość. Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę Polski na całej długości. W nadzwyczajnym wydaniu Gońca Codziennego (był to organ Wojewódzkiego Obywatelskiego Komitetu Samopomocy Społecznej w Stanisławowie) w niedzielę 18 IX 39r ukazała się odezwa do mieszkańców Stanisławowa następującej treści:

„Wkrótce władzę w naszym mieście obejmą Wojska Związku Sowieckich Republik Radzieckich. Poniżej podajemy odezwę prezydenta miasta Stanisławowa:

Obywatele!

- W ciągu najbliższych godzin wkroczą do naszego miasta wojska ZSRR. Obywatele! Wzywamy Was do zachowania bezwzględnej spokoju i porządku. Nie wolno nieprzyjaźnie występować przeciwko armii i władzom sowieckim. Wzywamy do nie opuszczania warsztatów pracy. Porządek utrzymują członkowie Straży Obywatelskiej, do której należy Policja Państwowa i służba Bezpieczeństwa Bloku Domów.

Prezydent Miasta: mgr Fr. Kotlarczyk

- Powitajmy wkraczające wojska rosyjskie bratniego Słowiańskiego Narodu - jako przyjaciół.

Niech żyje Wspólnota Słowiańska!

Wydaje komitet redakcyjny Redaktor Janusz Staszkiwicz.

Na skutek zaistniałej nowej sytuacji zaczęto przegrupowania wojsk. Ośrodek Zapasowy 8 Pułku Ułanów z Krakowa bazujący w Brodach przerzucony został do Tłumacza. Jego dowódca mjr Plackowski wyprzedzając konwój, wraz ze sztandarami pułków Brygady zaginął bez wieści w drodze do Tłumacza. Rodziny wojskowe tego pułku skierowano przez Stanisławów i Nadwornę do granicy węgierskiej. Oddział Wojska Polskiego przechodzący przez wieś Antonówka podzielił się na dwie części jedna poszła w kierunku Stanisławowa, a druga w kierunku Tłumacza. Pomimo uspokajających komunikatów Rosjan nikt w nie nie wierzył. Oficerowie, policja, urzędnicy, działacze polityczni i społeczni usiłowali się przedostać do Rumunii lub na Węgry. Drogi do tych krajów przepelnione były uciekinierami. Tymczasem wojska radzieckie zajmowały miasto po mieście. Po 18.09.1939r zajęły Stanisławów, Halicz i Buczacz.

Dnia 19.09.1939 mieszkańcy Tłumacza usłyszeli pierwsze strzały.

Sprawa honoru

Elżbieta Niewolska

W poprzednim numerze ZT w liście z Kołobrzegu opierając się na przekazie kol. A. Gabańskiego, wspo-

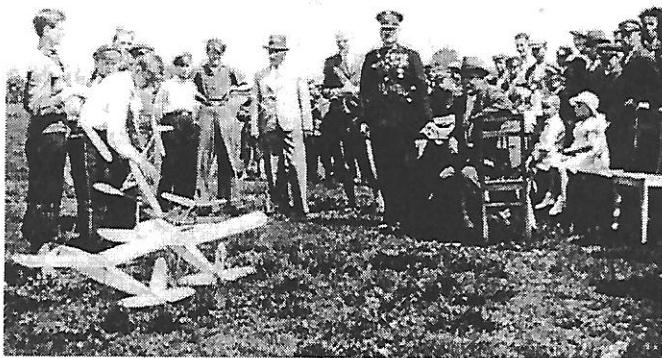
niałam o Adamie Sworniowskim. Relacja ta nie była pełna i w związku z tym ją uzupełniam, opierając się na informacji uzyskanej od ppłk. pilota mgr Janusza Romańskiego z Dowództwa WL i OP w Warszawie. Pi-

lot porucznik (FL / LT) = kapitan angielski R.A.F. Adam Sworniowski urodzony 19.02.1918 r. wychowanek szkoły Dęblińskiej 14 promocji (1939 - 1940) uczestnik bitwy o Anglię, Atlantyk i Normandię, przydzielony do 315 Dywizjonu Dęblińskiego w Brenzett. 10.07.1944 na samolocie „Mustang” (P51 D) nr FX 960 wystartował do lotu bojowego pod kryptonimem „Ramrod” (wycior) w rejon Martain we Francji. Samolot prawdopodobnie uszkodzony, spadł na zgrupowanie niemieckich czołgów koło Ercoville. Pilot zginął. Pochowany został na polskim cmentarzu w Grainville-Langonnerie (Francja) grób nr 5-E 9.

Odnznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Distinguished Flying Cross, Gwiazdą Lotników Europy, Medalem Lotników Polskich, oraz Polową Odznaką Pilotów. Nazwisko jego umieszczono na pomniku Bohaterów - Lotników, który został odsłonięty 28.08.2003 na Polach Mokotowskich w Warszawie.

Adam Sworniowski również jako dziecko przejawiał ogromne zainteresowanie lotnictwem. We wspomnieniach jego przyjaciela z Tłumacza pana Zygmunta Boniowskiego znajdujemy następujący fragment:

„W Tłumaczu, poza innymi przyjaciółmi, miałem jeszcze dwóch, o których mało kto pamięta. Pierwszy to Adam Sworniowski. Poznałem go przed maturą. Mieszkał u swojego krewnego, powiatowego komisarza policji kpt Gleitza (jeśli dobrze zapamiętałem nazwisko). Miał dwie pasje: budowanie modeli samolotów oraz strzelanie do kawek. Na krajowych zawodach w Poznaniu zdobył 6 pierwszych nagród w 7 konkurencjach, ponieważ przedłożył tylko 6 modeli. Obie te pasje doprowadziły go do oficerskiej szkoły lotniczej w Dęblinie skąd, wraz z całą szkołą wyjechał w 1939 roku. Z literatury lotniczej z okresu wojny dowiedziałem się, że ppor Adam Sworniowski w 1944 roku odniósł zwycię-



Tłumacz. Pokazy modeli latających. Rok 1937. Na zdjęciu widoczny jest kom. Gleitz (w mundurze)

stwo w walce z Niemcami”.

Po wrześniowej klęsce do Wielkiej Brytanii przybyło 30 tysięcy członków polskiego personelu wojskowego, w tym 8 tys. żołnierzy sił powietrznych. Oficerowie Królewskich Sił Powietrznych nie wierzyli, że piloci z zafanowanego kraju mogą dać sobie radę w nowoczesnej walce powietrznej. Jednak gdy tylko Polacy dostali szansę, od razu udowodnili jak bardzo myliło się wobec nich dowództwo RAF. Elitarny Dywizjon 303 zestrzelił w bitwie o Anglię więcej niemieckich samolotów niż która-

kolwiek z pozostałych jednostek. Niewykluczone, że to ich udział w bitwie zdecydował o wygranej i zmusił Hitlera do rezygnacji z planów inwazji. Winston Churchill obiecywał, że sprzymierzeńcy Polski nie zapomną o jej udziale w obronie Wielkiej Brytanii. Z końcem wojny obietnicy zapomniano. Chociaż polscy piloci przyczynili się w latach 1941 - 1943 do zadania Luftwaffe znacznych strat (ich wysokość szacuje się na 15 - 30 procent) zainteresowanie sprawą polską spadło po inwazji Niemców na ZSRR. Upór w dążeniu do obrony niepodległości kraju, okazywany przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie i oddziały, które odegrały tak wielką rolę w działaniach wojsk sprzymierzonych, był coraz częściej uważany za przejaw politycznej głupoty i coraz mocniej lekceważony. Kiedy w roku 1946 odbywała się w Wielkiej Brytanii parada zwycięstwa, żołnierze Dywizjonu 303 i innych polskich jednostek przyglądali się jej z boku, ich udział w zwycięstwie był ogromny a jednak nie doczekali się uznania nie tylko sojuszników, ale



Tłumacz: zawody modeli latających. Prof. Jan Macek (w czapce) i Młodzież gimnazjalna

również historyków.

Lotnikom!

Wiersz Wiktora Budzyńskiego, lwowskiego poety poświęcony lotnikom z 1939 roku.

Wiersz ten deklamowała polskim zesłańcom będąc na Syberii mała Ania Panachidówna (Bocheńska) dostarczając listy do ziemianek.

*Jest noc. Lecisz. Gra motor. Myśl jest na sterze...
Ty wiesz, że lecisz dzisiaj tam po to, by wojnę zanieść im też.
Wojna... Poczekaj samotny lotniku bracie Ikara,
Po raz już może stukrotny w myślach twych zjawia się wiara.
Ta z Mokotowa, z Dęblińska z wrześniowej walki w jesieni,
Lotnicza dziś cała rodzina – dziś zastęp cieni.
Pamiętasz? Uważaj! Motory równo pracują, zegary światłem meldują.
W górę! Uparta myśl wraca i świetlnych znaków się ima,
Pamiętasz Westerplatte? Miała dwa dni wytrzymać według
rozkazu formalnie,
A padła w dziesiątym dniu... Zaczekaj to jeszcze nie tu!!!
Ściągnij mocniej stery.... Skontroluj ładunek bomb....*

Przypomnij Warszawę w gruzach! O Boże!! Niżej i rąb!!!
 Nurkuj!! Piku!! Ziej ogniem!! Graj pieśń żałobną
 Dla Gromu, dla Orła dla tych nieznanych na dnie oceanu ogro-
 mu.
 Pamiętaj nie zwlekaj, po nowy ładunek wróć.
 Powrotów twoich trzeba tam wiele, aż zagrzmią dzwony wol-
 ności,

W Oksywiu, w Modlinie, na Helu!!
 Czy numer twój 301, 300, lub 303 ??
 Idą tam z tobą pod niebo z Polski uśmiechy i łzy.
 Bombo, mitraliezo pisz bohaterów epos,
 Pisz dzieje Polski skrwawionej, Warszawę spowijaj krepą.
 Bomba i mitralieza graj tam wysoko motorem,
 Pieśń wielką, że nie zginęła, że walczyła i walczy z honorem!

Jerzy Czyżycki

Decydując się na przedruk tekstu z miesięcznika „Polsce Wierni” poświęconego 60 rocznicy Powstania Warszawskiego, miałem na uwadze fakt, że brali w nim udział także Kresowianie.

Wśród tych, którzy usiłovali nieść pomoc walczącej Warszawie, znaleźli się też żołnierze 1 Armii WP z powiatu tłumackiego. Byli to ci, którzy nie zdążyli dotrzeć do organizowanego wojska przez gen. Andersa. Niestety, niedoskonałość ewidencji - brak w niej bliższych danych w szeregu przypadkach - nie pozwala na przedstawienie pełniejszego wykazu.

W „Księdze poległych na Polu Chwały 1943-45” MON.1974 znajdujemy:

Bartków Stefan s. Jana ur.1919 w Chocimierzu szer. 9 pp poległ na Saskiej Kępie 20 września 1944r.

Gacek Mieczysław Igrzyska pow. Tłumacz szer. 9 pp. 19.09.1944 nad Wisłą

Kogut Piotr z Otynii szer. 9 pp. 23.09.1944 Warszawa

Wysocki Piotr Krosiówka pow. Tłumacz szer. 7 pp. poległ 24.09 1944

W tej księdze nie znajdujemy nazwisk żołnierzy 8 oraz 6 pp. którzy też brali udział w tej operacji. Jestem przekonany, że na przedstawionych nazwiskach nie kończy się lista poległych pochodzących z naszego tłumackiego powiatu. Niestety już nigdy nie dowiemy się ilu naprawdę zginęło tych, którzy idąc na pomoc walczącym powstańcom spełniali swój żołnierski obowiązek, płacąc daniną krwi.

Z pomocą walczącej Warszawie

Mija 60 lat od dnia, w którym Warszawa podjęła krwawy bój.

Pamiętnego sierpnia 1944 r. połała się krew chłopców i dziewcząt z najwartościowszego pokolenia, jakie dało Polsce ostatnie stulecie. W minionych latach na temat tamtych dni - krwi i chwały - opublikowano bardzo wiele prac, które w miarę upływu czasu pozwalają na bardziej obiektywną ocenę Powstania Warszawskiego. Nie wszystkie jednak karty historii tamtych wydarzeń są zapisane do końca z historyczną prawdą.

Jak pamiętamy, we wczesnych latach powojennych prace badawcze nad Powstaniem Warszawskim, z wiadomych względów, nie należały do priorytetów badawczych, a udział oddziałów WP we wspólnych walkach z powstańcami był raczej tematem tabu. Nie inaczej rzecz się ma w III RP, bowiem prawda o istnieniu i walkach WP na froncie wschodnim jest z pełną premedytacją zniekształcana i usuwana zarówno z pamięci społecznej, podręczników szkolnych, literatury, jak też prasy. Nic więc dziwnego, że nie mówi się i nie pisze o Berlingowcach, którzy ramię w ramię z powstańcami warszawskimi walczyli i ginęli na przyczółkach płonącego Czerniakowa, Powiśla i Żoliborza. Dlatego też w dniach 60 rocznicy Powstania Warszawskiego, należy wreszcie ukazać prawdę wspólnie przelanej krwi powstańców warszawskich i żołnierzy 1 armii WP.

Jak wiadomo, dowodzący jeszcze wówczas 1 armią WP, generał Zygmunt Berling w dniu 15 września 1944r. podjął śmiałą decyzję o forsowaniu Wisły celem natychmiastowego udzielenia pomocy powstańczej Warszawie. Z perspektywy czasu należy uznać, że była to jedy-

na decyzja, jaką mógł podjąć dowódca Polskiej Armii w obliczu tragedii polskiej stolicy.

Innej decyzji generałowi Berlingowi nie wybaczyłaby historia. On ją podjął – niestety – kosztem osobistej tragedii. Zgodnie z tą decyzją 3 Dywizja Piechoty, działająca z rejonu Saskiej Kępy, miała sforsować Wisłę i uchwycić przyczółek w rejonie Czerniakowa. Podobnie też 2 Dywizja Piechoty, forsując Wisłę z rejonu Pelcowizny miała zadanie opanować przyczółek na Żoliborzu, natomiast 1 Brygada Kawalerii z kompanią piechoty 1 DP otrzymała zadanie sforsowania Wisły pomiędzy mostem Poniatowskiego i Kierbedzia.

Niestety zbyt krótki czas na przygotowanie skomplikowanej operacji, a w związku z tym nadmierny pośpiech, nie pozwolił na rozpoznanie kierunków działania, organizację współdziałania z broniącymi się powstańcami, organizację ogniowego wsparcia desantu itp. Szczególnym mankamentem był brak środków przeprowadzających. Należy również podkreślić, że ze względów politycznych nasi ówczesni sojusznicy wyraźnie manifestowali swoje desinteresement podejmowaną operacją przez 1 armię WP. Wszystko to miało swój ujemny wpływ na organizację i bojowe działanie 1 armii WP.

W nocy z 15 na 16 i 17 września przez Wisłę na Czerniaków przeprawiły się dwa bataliony 9 pułku piechoty. Drugi przyczółek na Powiślu opanowały pododdziały 8 pułku piechoty, natomiast na Żoliborzu, w nocy z 18 na 19 września lądowały oddziały 6 pułku piechoty z 2 DP. Próby forsowania podejmowała także 1 Brygada Kawalerii, ale działania te były niepomyślne. Na wszystkich trzech kierunkach, desant odbywał się pod silnym

ogniem Niemców.

Największy dramat rozgrywał się na przyczółku czeraniakowskim. Walczące tu dwa bataliony 9 pp oraz powstańcze zgrupowanie ppłk. "Radość", prowadziły ciężki bój z grenadierami niemieckiej 25 Dywizji Pancerniej oraz dodatkowo wprowadzonymi do walki jednostkami SS Heinza Reinefarda i Gunthera Rohra. Jest zrozumiałe to, że Niemcy za wszelką cenę dążyli do zniszczenia przyczółków, ich wzajemnego połączenia się i do odcięcia powstańców od Wisły. Podjęta w nocy z 20 na 21 września przez 7 pułk piechoty próba wzmocnienia przyczółków zakończyła się niepowodzeniem.

Pomimo narastającej przewagi Niemców bój powstańców i żołnierzy 1 armii WP trwał do 24 września 1944r. W tym dniu generał Berling widząc, że dalsza walka bez wyraźnego wsparcia przez ówczesnych sojuszników, może doprowadzić do całkowitego wyniszczenia obrońców przyczółków – nakazał ewakuację niewielkich już resztek pododdziałów na prawy brzeg Wisły.

W toku trwania walk na przyczółkach, na prawy brzeg przedostało się wielu rannych powstańców i sporo ludności cywilnej. Rannych, służba medyczna 1 armii WP kierowała do szpitali polowych w Aninie i Otwocku, a ciężko rannych do szpitala w Lublinie. Sporo zdolnych do walki powstańców zaciągnęło się do oddziałów 1 armii WP, by dalej walczyć o wyzwolenie kraju. Niektórzy z nich dosłużyli się stopni oficerskich, a nawet węgryków generalskich.

Ogółem wspólne walki żołnierzy 1 armii WP i powstańców warszawskich na przyczółkach trwały 8 dni, od 16 do 24 września 1944r., a więc nie krócej od wielu polskich bitew toczonych na froncie wschodnim czy zachodnim. Obrona przyczółków prowadzona była przy bardzo niekorzystnym stosunku sił, który wynosił jak 1 do 23 na korzyść Niemców. Broniący przyczółków Polacy ponieśli olbrzymie straty. Według autorów pracy pt. "Armia Berlinga i Żymierskiego" (Wydawnictwo „Neriton” - 2002, str.238), straty te wyniosły 4.892 poległych, rannych i zaginionych. Dla porównania: straty w bitwie pod Monte Casino wyniosły 1571 zabitych, rannych i zaginionych, odpowiednio w bitwie o Narwik - 307, o przełamanie Wału Pomorskiego - 5791, o Kołobrzeg - 1461, w działaniach 2 Korpusu Polskiego na terenie Włoch w całym okresie 1944-1945 straty wyniosły 2301 żołnierzy.

Przytoczone wyżej wskaźniki, a więc czas trwania działań, stosunek walczących sił, jak też poniesione straty świadczą nie tylko o tym, że walkę na przyczółkach warszawskich zaliczyć można do wyjątkowo krwawych, ale przede wszystkim do bitew szczególnie znaczenia w historii wysiłku zbrojnego Polaków w II wojnie światowej.

W dniach 60 - lecia Powstania Warszawskiego, wspominając tamte dni krwi i chwały, składamy należny hołd walecznym obrońcom warszawskich przyczółków - tym, w żołnierskich mundurach i tym w powstańczych panterkach.

Rudolf Dzipanov
„Polsce wierni” nr 8 (104) 2004

Rocznica wojny polsko - ukraińskiej Aby zlitował się Bóg, aby wysłuchał tych prośb

Wspomnienie o Marianie Karolu Dolaisie Elżbieta Niewolska



Tłumacz 1918 r.
Marian Karol Dolais uczeń VIII klasy gimnazjum, drużynowy 1 m.d.n.

W listopadzie 1918 roku zakończyła się pierwsza wojna światowa, ale jednocześnie rozpoczęła się wojna polsko - ukraińska. Smutne dni nastały dla Polaków. (pisze Dominik Chirowski w swoich wspomnieniach) Pojawiły się wojska galicyjskie składające się przeważnie z Rusinów. Były to pułki, które Austria, czując swój kres, odkomenderowała do Małopolski Wschodniej celem utworzenia państewka ukraińskiego, połączonego federacją z Austrią.

Była to planowo przez zaborców rzucona kość niezgody dla powaśnienia bratnich narodów. Rozpoczynają się rewizje i aresztowania Polaków, a następnie powstaje okres nieszczęsnych bratobójczych walk, w któ-

rych po obu stronach poległo wiele młodzieży.

Jednym z takich młodych ludzi był Marian Karol Dolais – Tłumaczanin, któremu później poświęcono pamiątkową tablicę umieszczoną nad wejściem do zakrystii w kościele w Tłumaczu.

Marian Dolais wymieniony jest również w sprawozdaniu C.K. Gimnazjum w Tłumaczu za rok 1917-1918 w wykazie uczniów odbywających służbę wojskową w czasie wojny 1914-1918, którzy zginęli na polu walki lub w czasie służby wojskowej.

Wspomnienie to zostało opracowane nakładem Straży Mogił Polskich Bohaterów i wydany we Lwowie w 1926 r. Znalazło się ono w wykazie poległych w obronie Lwowa i Kresów Wschodnich. Do druku podała p. Helena Jurkiewiczowa.

Dolais Marian Karol urodził się w Jordanowie w woj. Krakowskim w dniu 22 lipca 1901 roku z ojca Władysława, notariusza i właściciela dóbr Tłumacz, i z matki Magdaleny z Kozubskich. Uczęszczał do Gimnazjum w Tłumaczu. Padł w obronie umiłowanej Ojczyzny we Lwowie dnia 17 listopada 1918 roku. Młody bohater należał do tego grona najszlachetniejszych synów Ojczyzny, którzy pierwsi odczuli wielką chwilę dziejową i zrozumieli, że nadszedł moment czynu z bronią w rękę.

Zagrożony wydaleniem z Gimnazjum za działalność patriotyczną wśród kolegów, wyjechał z końcem października 1918 r. z Tłumacza do Lwowa, gdzie brał czynny udział w zjeździe młodzieży polskiej i w pracach nad organizacją teŝe we wschodniej części byłej Galicji.

We Lwowie zastał go podstępny napad Ukraińców. Stał natychmiast w szeregach obrońców miasta. Walczył na placu Św. Jura, bronił Wólki Panieńskiej, brał udział w szturmie na sejm w samochodzie pancernym, wreszcie w walkach na odcinku „Szkoła Kadecka”. Tam, chociaż poważnie ranny, nie złożył jednak broni, ale dodając innym otuchy, poszedł nad ranem 17 listopada 1918r wraz z garstką walecznych do nowego ataku na cmentarz Stryjski. Tu padł od ekrazytowej kuli hajdamackiej o godzinie 8 rano. Pozostałe po nim notatki najlepiej malują jego piękną młodą duszę. Krewni jego, u których przebywał we Lwowie, zaniepokojeni jego nieobecnością odszukali go w Szkole Kadeckiej, jednakże znaleźli już tylko zimne zwłoki, które na razie pogrzebali w swoim ogrodzie przy ulicy Żmurki. W maju 1919 r., po odparciu hord ukraińskich ekshumowano zwłoki śp. Mariana Dolaisa i złożono je wraz z sześcioma innymi towarzyszami po bardzo uroczystym pogrzebie na cmentarzu Obrońców Lwowa.

Oto co czuł i myślał w ostatnich chwilach swego życia:

Zdarzy się jeno to, co Bóg wszechmogący da.

Dał zdolności studze swemu, dzięki za nie jemu ślę.

A gdybym źle je zużyć miał, gdybym mało Mu z nich chwały dał - On mię na świecie nie ścierpi. Ze szturm wyszedłem cało, Wólkę broniłem, a żyję, Boże czyż dasz mi w swej łasce żyć dalej i przeżyć znoje wojen krwawe?

Nikogo nie chciałbym zabić, z zwłaszcza ludzi talentu, niechaj dla społeczności swojej staną się umiłowanymi.

Och ja chcę i ja się modłę, by Pan z górnych wzgórz dał dożyć chwili pociechy, dał mi dla Polski czemś być.

A nie stan wojskowy, nie kula i krwawy miecz, lecz myśli mojej potęgą ma mię w wyżynach postawić.

Oby się zlitował Bóg, oby wysłuchał tych próśb.



Tłumacz: 14.08.1919 r.
Nabożeństwo żałobne ku czci ś.p. Mariana Dolaisa

Łyczaków

24 listopada 1918 roku w odrębnym sektorze wojskowym katolickiego cmentarza na Łyczakowie, na przedmieściach Lwowa, pochowano troje młodych ludzi. Wszyscy – Zygmunt Mencil, lat 23, Józef Kurdyban, lat 19 i Felicja Sulimirska, lat 21 – zginęli w walkach między

Polakami a Ukraińcami o byłą stolicę austriackiej Galicji. Był to pierwszy z kilku tysięcy pogrzebów, zorganizowanych w celu przeniesienia ciał poległych Polaków z tymczasowych grobów w parkach i na skwerach, a zarazem początek Cmentarza Obrońców Lwowa. Campo Santo „Orlą”. Najmłodszy był prawdopodobnie Antoś Petrykiwicz, poległy w akcji w wieku 13 lat.

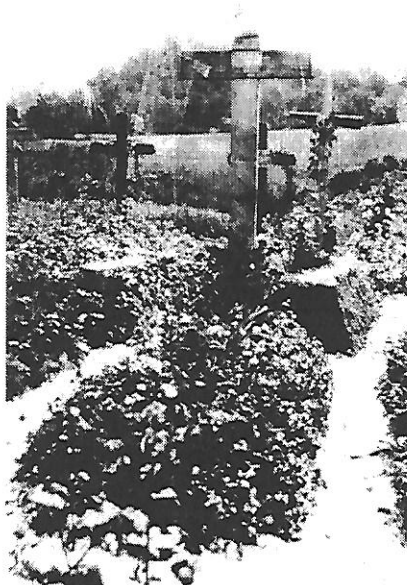
Jak wszystkie wielkie cmentarze miejskie dziewiętnastowiecznej Europy, cmentarz Łyczakowski był już wtedy wybitną historyczną i artystyczną nekropolią. Jak paryski Pere-Lachaise czy londyński Highgate, w gąszczu swoich drzew i zarośli krył ozdobne grobowce rodzin, które niegdyś uświetniały rozkwit wielkiego miasta. W dwóch odrębnych kwaterach wyrastały rzędy prostych krzyży znaczących groby żołnierzy poległych w polskich powstaniach z lat 1830 i 1863.

Wojskowy cmentarz na Łyczakowie był podobny do setek takich samych cmentarzy, które wyrosły w setkach miejsc po Wielkiej Wojnie - szczególnie w Belgii i na północy Francji.

Wybudowano go w latach 1919 - 1934, czyli w okresie gdy we Lwowie rządili Polacy; głównym akcentem był wyniosły ł'arc de triomphe, z dwoma kamiennymi lwami po bokach i półkolistą kolumnadą. Nad łukiem umieszczono napis MORTUI SUNT UT LIBERI VIVAMUS („Umarli, abyśmy mogli żyć wolni”), a lwy dźwżyły w łapach tarczę z wypisaną dewizą miasta: SEMPER FIDELIS („zawsze wierny”) i TOBIE POLSKO. Z tyłu, za grobami, wzniesiono ozdobioną arkadą krytą, obrzeżoną po obu stronach schodami prowadzącymi do kaplicy w kształcie rotundy. Cały ten zespół architektoniczny ozdabiały zimozielone krzewy i oświetlały lampy na postumentach z brązu. Osobne pomniki wystawiono poznańskim ochotnikom, francuskiej piechocie i amerykańskim lotnikom, którzy stracili życie w obronie miasta przed bolszewikami w latach 1919.-1920.

O ile początki cmentarza Łyczakowskiego nie były niczym wyjątkowym, o tyle jego losy - tak. Po przyłączeniu Lwowa do Rosji sowieckiej w

roku 1945 cmentarz został zniszczony przez wandalów i zdewastowany. Krzyże powyrywano z ziemi, napisy na nagrobkach sprofanowano, posągi poobtłukiwano, w kaplicy urządzono warsztat kamieniarski. Zarośniętej krzakami i chwastami nekropolii strzegły złe psy i można ją było odwiedzić, tylko ryzykując aresztowanie. Dokumentację zniszczeń prowadzono w tajemnicy - odwiedzającym



Lwów, sierpień 1919 r.
Prowizoryczny grób Mariana Dolaisa
(zdjęcie ze zbiorów J. Dolais)

nie wolno było zaglądać poza wystawiony obok potężny pomnik upamiętniający wojnę sowiecką. Prace konserwatorskie podjęto, na prośbę rządu w Warszawie, dopiero w 1989 roku.

W Europie Zachodniej stare cmentarze na ogół przetrwały drugą wojnę światową w nienaruszonym stanie. Natomiast na całym obszarze Europy Wschodniej cmentarze niemieckie, żydowskie, polskie litewskie i ukraińskie padły ofiarą komunistycznej kampanii, której celem było zacieranie ludzkiej pamięci. Stanowiły przeszkodę w pisaniu nowej historii. W latach 1918-1919 po-

konani Ukraińcy ponieśli straty porównywalne ze stratami ich polskich przeciwników. Mimo to ukraiński cmentarz wojskowy we Lwowie czczono i utrzymywano w porządku przez cały okres polskich rządów. Za rządów sowieckich został usunięty z powierzchni ziemi.

W roku 1991 Lwów - główna metropolia zachodniej Ukrainy - stał się drugim co do wielkości miastem niepodległej Republiki Ukrainy.

S.S Nicieja, Cmentarz Obrońców Lwowa, Wrocław 1990.

Tłumacz w latach wojennych 1939 - 1945

Aneks do wspomnień Piotra Dorosza

Tekst ten ukazał się w monograficznym dziele Heleny i Tibora Csorba "Ziemia Węgierska Azylem Polaków 1939-1945" Wyd.PWN str.178-182 oraz „Wspomnienia Polskich Uchodźców na Węgrzech w latach 1939-1945” wydane staraniem Federacji Stowarzyszeń Polsko-Węgierskich R.P.w1999r. w których zamieszczono wspomnienia napisane w obozie BREGENC-MAJOR pod tytułem „Nadzwyczajna pomoc Węgierskiego oficera”. Wspomnienie to mylnie przypisano p.Janowi Żyromskiemu.

Faktycznie napisał je p. Piotr Dorosz, a dotyczyło ono jego rodziny, głównie córki Lidii i syna Czesława. Pomyłka nastąpiła prawdopodobnie przy opracowywaniu wspomnień uchodźców, którzy na prośbę małżeństwa polsko-węgierskiego Heleny i Tibora Csorby-pisali w latach 1942-1943.

W wspomnieniach tych opisywane są ówczesne czasy, zdarzenia, odczucia, które mimo to i teraz są nam zrozumiałe, bliskie, przywołujące u starszego pokolenia zadumę nad kolejami ludzkiego życia

Oto wspomnienia. OBÓZ BREGENC-MAJOR (miasteczko pñ.zach.Węgry k/ m.Kapuwar)

„Sam obóz Bregencmajor, podobny w swoim rodzaju do innych, w których przebywałem. Już nie baraki, ale przez nas samych oczyszczone stajnie folwarczne, lecz i te miały swoje dobre strony i zalety. Po pewnym czasie stajnie takie stawały się dla nas miłe i schludne, gdyż o urządzenie swego lokum dbał każdy z nas, jak tylko mógł i nie daj Boże, gdy gdzieś w pobliżu znajdowała się jakaś prehistoryczna szopa lub coś innego nie zajętego przez ludzi. Wtedy to w mgnieniu oka zniknęły z niej deski, belki i wszystko inne, nadające się dla naszego urządzenia się i zagospodarowania potrzebne. Po prostu zniknęła biedna szopa, jak kamień w wodzie. Za to pojawiały się w naszych stajniach przeróżne -wedle upodobania- półki, półeczki, wieszaki itp. Istniały nawet drabinki. Mówię drabinki, gdyż często mieszkania mieliśmy, choć stajenne, za to piętrowe.

Miejscem bardzo ważnym naszego życia obozowego, nie był jednak sam Bregencmajor, lecz znajdujący-

ca się w pobliżu wioska pod nazwą Fertöszentmiklős. Już sama nazwa wioski zawiera w sobie coś świętego, a mieszkańcy jej, to naprawdę ludzie bardzo bogobojni i pod każdym względem zasługujący na szacunek. Tam istniało nasze corso, tam była plaża kąpielowa, tam były przystępne karczmy i doskonałe wino. Tam też odbywał się handel wymienny między Lengyelami a ludnością wiejską. Niejeden z nas żałuje do dziś za dobrym kocem lub butami, które pochłonął węgierski sławny i oszalałający „bor”.I muzycy – Cyganie czuli się z nami dobrze, pjali wino pospołu z nami, zapominając o tym, że nie było to wino polskie, lecz pieniądze polskie. Żle mówię, pieniądze również magyarskie, lecz za polskie koce uzyskiwane.

Mniej więcej w październiku 1940r. udałem się na rozrywkę wraz z innymi kompanami na tamtejszy „búcsú”(odpuść) przypatrzeć się zabawie, no i wypić na utrapienie fertöszentmiklőszowskiego boru.. Wino wprawdzie drogie, bo 1,50 pengö za jeden litr, trochę kwaśne, bo taka jego uroda, za to muzyka „trio” co za werwa, nogi pod stołem same się ruszają, aż biedne szklane naczki na stole podskakują. Wstaję podchodzę do wybranej spośród wielu krasawic wiejskich i choćby jedyne raz zatańczyć, raczej spróbować i przekonać się, czy ciało z powodu nadmiernego lenistwa przypadkowo nie zeszywniało.

Gdzież tam zeszywniało! Tańczę raz, drugi, trzeci i dalej, a wciąż z jedną i tą samą. Szczęśliwy, że mogę się porozumieć, gdyż mówi po niemiecku, choć niecałkiem poprawnie. Poznaję w niej pannę około 25 lat liczącą, wysoką blondynkę no i wykształconą, bo ukończyła gimnazjum w Sopronie. Rozmowa między nami rozwiązała się na dobre, następuje odprowadzenie do domu i zaproszenie mnie na następną niedzielę.

Korzystając z przepustki niedzielnej udaję się do mej znajomej zaraz w następną niedzielę.Poznaję rodziców, rodzeństwo, którzy, jak to dobrze... nie rozumieli niemieckiego języka. Od tego czasu odwiedziny swe na skutek zaproszeń oczywiście ponawiam, a czynię to chętnie, bo gdzież mógłbym spędzać tak miłe, długie

niedzielne popołudnie i zjadać całe góry pysznych kołaczy, makowca i innych węgierskich przysmaków, jak nie u mojej znajomej.

Poznaliśmy się na dobre. Rodzina wiedziała z opowiadania o moich kłopotach i zmartwieniach. Największym zmartwieniem dla mnie było to, że od czasu przekroczenia granicy węgierskiej do października 1941r. nie mogłem w żaden sposób zdobyć jakichkolwiek wiadomości o losie pozostawionych w Polsce żony i trojga dorastających dzieci. Może dlatego, że miejsce zamieszkania mej rodziny – Tłumacz obok Stanisławowa - znajdowało się pod okupacją bolszewicką, stąd poczta tylko rzadko przedostawała się na Węgry. Pewnie względy natury politycznej. Ta właśnie sprawa mnie i innych mnie podobnych, najbardziej martwiła i bolała, wobec czego czuliśmy do władz rządowych żal. Cierpiałem okropnie, choć rozumiałem, że sprawa jednostki, musi się ugiąć przed sprawą daleko ważniejszą, bo sprawą państwową.

Dlatego też poznana przeze mnie rodzina, pocieszała mnie jak mogła, krzepiła mnie na duchu, modląc się razem ze mną o los moich najbliższych w kraju. Nie wiem czyje modły zostały przez Wiekuistego wysłuchane? Moje czy też przychyłnej mi rodziny? Pewnego bowiem dnia październikowego 1941 r. zgłasza się w komendzie obozu Bregencmajor pewien węgierski aspirant oficerski i zapytuje o moje nazwisko. Okazało się, że ów aspirant bawiący chwilowo na urlopie, przybył z terenów polskich, oddanych przez władze niemieckie – po opuszczeniu ich przez wojska sowieckie – oddziałom węgierskim, dla utrzymania tam ładu i porządku. Miejscem postoju owego aspiranta oficerskiego był właśnie Tłumacz, a mieszkaniem dom moich Najmilszych. Mieszkając tam, dowiaduje się od moich dzieci, że ojciec ich przebywa na Węgrzech w obozie Bregencmajor. Korzystając następnie z udzielonego mu urlopu do rodziny na Węgrzech w Budapeszcie, nie szczędził sił i czasu, by mnie odnaleźć i podzielić się ze mną wiadomościami od moich najbliższych. Wiadomości i cenne, bo pierwsze z ziemi węgierskiej, lecz smutne zarazem, bo donoszące mi o śmierci żony podczas okupacji bolszewickiej jeszcze w maju 1940 r.

Półtora roku leżała żona w ziemi, za nim dotarła do mnie wiadomość o jej śmierci. Prócz bolesnej wiadomości, donosi mi również o deportowaniu do Rosji Sowieckiej najstarszego syna mojego, 20 lat liczącego. Od pozostałych w kraju dzieci, 16 letniej córki i 18 letniego syna, przynosi mi listy i zdjęcia fotograficzne. Oglądając zdjęcia, najdroższych mi istot i czytając ich listy, płakałem rzewnie, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Ze mną płakał również mój dobrodziej, oddawca listów. Odczuwając i dzieląc ze mną ból, zapytał mnie w końcu, czy nie pragnąłbym dzieci swe tu na Węgrzech zobaczyć, gdzie im z pewnością lepiej będzie, aniżeli w kraju bez opieki i zaopatrzenia. Któryżby ojciec tego nie pragnął. Pożegnaliśmy się wkrótce, a ja dałem mu list do dzieci. Przy odjeździe obiecał mi uczynić radosną niespodziankę. Jaką? Nie chciał, czy też nie mógł jej treści wyjawić.

Czekałem dalej cierpliwie i modliłem się gorąco. W niespełna 6 tygodni po jego odjeździe, zawiadamia mnie komenda obozu Bregencmajor, że zarządzeniem

Min. Honwedów, przniesiony zostaje do obozu dla rodzin wojskowych podoficerów polskich w Püsekach, gdzie mnie oczekują przybyłe z Polski dzieci.

Radość moja nie miała granic. Cieszyłem się i płakałem z ogromu tego niezwykłego zdarzenia. Zaraz na drugi dzień rano jadę do Püsek. Drogę z M-ówáru (Mosonmagyaróvár) do Püsek wynoszącą 12 km. odbywam piechotą w czasie półtorej godziny. Nie czuję najmniejszego zmęczenia, pomimo obciążonych rąk walizkami. Przybyłem już do Püsek, pytam o obóz, a nogi mi się trzęsą. Jeszcze chwila, sekunda i zobaczę swoje dzieci, przybyłe z Polski. Wskazują mi mieszkanie, wchodzę, i oczom nie wierzę. Córka, duża panna, jakże wyrosła i wyładniała, a syn jak młody dąb, rosły, barczysty, przerósł swego ojca. Następują witania, ściskania no i płacze. Pytaniom i opowiadaniom nie ma końca, nawet żółądek milczy, choć winien według wszelkich prawideł domagać się o pokarm. Dowiaduję się, że przeprowadzenie dzieci przez granicę, a następnie towarzyszenie im do samych Püsek dokonał właśnie znany mi już węgierski aspirant oficerski. O sposobie przeprowadzenia przez granicę nie będę pisał, gdyż należy to już do tajników tego rycerskiego gentelmena: heroiczny i szlachetny człowiek. Pozostanę mu wdzięczny do końca mego życia i modlić się będę do Wszechmocnego, o użyczenie Jemu i Jego Najbliższemu długiego życia, zdrowia i najlepszego powodzenia.

Coż by się mogło było jeszcze stać z moimi dziećmi pozostałymi bez ojca i matki wśród obcych ludzi – zaborców, gdyby nie ów rycerski i szlachetny Węgier brat? Już drugi rok przebywam razem z dziećmi. Jakże dobrze jest mi tutaj z nimi. Wynagradzają mi one nieustające wspomnienia o śmierci mojej żony, a ich kochanej, nieodżałowanej matki.

Czas goi największe i najboleśniej rany.

Jak niegdyś, tak dzisiaj w chwilach zadumy śpiewam nadal węgierskie piosenki. Tym razem już nie sam, lecz z dziećmi, a piosenek znam mnóstwo. Dzisiaj znam bardzo dobrze ich treść. Ja sam może mniej, ale córka w czasie niespełna 2 letniego pobytu na Węgrzech opanowała język węgierski tak, że z łatwością udzielać może lekcji tego języka młodszemu polskiemu dziewczynkom i chłopcykom, co też obecnie gorliwie czyni.”

Państwo Doroszowie przybyli do Tłumacza krótko przed wojną – zamieszkali u p. Drechslerowej na „Chatkach”. Pan Piotr Dorosz st. wachmistrz pracował w Starostwie w dziale wojskowości. Mieli troje dzieci; Zbigniew licealista (wspominałem o nim w artykule „Za rogatkami miasta” ZT. nr 3/15) Czesław wstąpił do Podoficerskiej Szkoły dla Małoletnich w Nisku, Lidzia uczennica szkoły powszechnej. Tak było do początku drugiej wojny światowej.

W wyniku działań wojennych st. wachmistrz Piotr Dorosz został internowany na Węgrzech. Serce p. Doroszowej nie wytrzymało i na wiosnę 1940 roku osierociła dzieci. Opiekę nad rodzeństwem przejął najstarszy syn Zbigniew. Z biegiem czasu rodzeństwo się rozdzieliło. Zbigniew został wcielony do Raboczo-Krestiańskiej Krasnej Armii, Czesław podjął pracę buhaltera (księgowego) w młynie we wsi Strychańce (kilkanaście km. od Tłumacza) natomiast Lidką zaopiekowała się p. Zoubek.

Pewnego dnia, Lidka zaniepokojona o los brata, zwróciła się do mnie z prośbą, aby wspólnie ze Zdzichem Drechslerem odwiedzić Czesia w Strychańcach, a była to trzecia dekada czerwca 1941r. (Już rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka).

Wybaczcie mi drodzy czytelnicy, że odbiegnę od zasadniczego tematu i opiszę moim zdaniem historię jaka w czasie okupacji nie była odosobniona.

Ze Zdzichem Drechslerem łączyła nas szczerą młodzieńcza przyjaźń. Pomimo różnicy wieku (on był uczniem 4 kl. Gimnazjum a ja 1-szej) mieliśmy wspólne upodobania i prowadziliśmy niekończące się rozmowy - dosłownie o wszystkim.

Zdzich podkochiwał się w Mirce Seidler i gdy wywołali ją na Sybir on na stacji kolejowej szalał z rozpaczy... Czy ona uczucia jego odwzajemniała - nie wiem. Mam nadzieję, że po tym artykule mi powie. Zdzich miał młodszego brata Zbyszka - o nim później. Matka ich była Ukrainką, przeważnie przebywała na probostwie księdza greko - katolickiego w Słotwinie (nie daleko Nadwórnej) W czasie okupacji Zdzich przeniósł się też do Słotwiny. Postanowiłem go odwiedzić, a okazja była, bo kiedyś pożyczyłem mu pompkę do roweru. Ponieważ rower miałem pożyczony od szwagra i czas było go zwrócić (a pompki nie było), więc pojechałem. Tak naprawdę, to chciałem go odwiedzić i porozmawiać jak dawniej. Wchodzę na plebanie a Zdzich jak mnie zobaczył - na plebanii nikogo wówczas nie było - krzyknął: „Uciekaj natychmiast!” Uciekłem. Nie wiem dlaczego, ale po tym okrzyku poczułem strach. Z duszą na ramieniu przejechałem przez wieś w kierunku Tyśmienicy i dalej do domu To była jesień 1942r. Gdy byliśmy na wycieczce w Tłumaczu w 1991 r. opowiadali mi miejscowi Ukraińcy, że Zdzich był w UPA. Odbył karę 15 lat łagru. Po zwolnieniu raz tylko był, jak mówili mi znajomi Ukraińcy w Tłumaczu.

Była jesień 1946 lub wiosna 1947. Będąc w wojsku jechaliśmy na rozminowywanie pasa nadodrzańskiego. Jako st. adiutant (Szef Sztabu) 10 batalionu saperów (numeracja frontowa) 1 pułku saperów, jechałem z grupą żołnierzy w kierunku Głogowa na rozpoznanie nowych pól minowych. Po drodze zatrzymaliśmy się aby przegonić stado bydła. Gdy ruszyliśmy usłyszałem, że ktoś mnie woła po imieniu. Zatrzymałem samochód a do niego podszedł pastuch tego stada, wyciągnął rękę i mówi: „Jestem Zbyszek Drechsler”. Przedem stał biedny zniszczony człowiek. Uściskaliśmy się serdecznie, czasu na rozmowy jednak nie było, zarówno on jak i ja byliśmy na służbie. Powiedział mi tylko, że wrócił z ZSRR gdzie był wywieziony jako akowiec. Tę pracę chwycił, żeby się utrzymać a później pomyśli co dalej. Więcej go w życiu nie spotkałem. Dwóch braci a jakże różnych.

Żołnierze byli zdziwieni tym zdarzeniem, wytłumaczyłem im, choć prawdę ukryłem.

Wracam do przerwanej wątku. Wybieraliśmy się do Strychaniec. Poszliśmy w kierunku stacji kolejowej Pałahicze. Po drodze spotkaliśmy Bronka Baranowskiego, który szedł do lasu aby załatać przywóz zarobionego drewna. Mieliśmy dużo szczęścia gdy „bojcy” zaczęli nas legitymować. Bronek wyciągnął legitymację komsomolca i bojcy już nas nielegitymowali. Na marginesie

tego zdarzenia chcę przypomnieć, że w naszej niepełnej szkole średniej z polskim językiem nauczania, było trzech komsomolców: wspomniany Bronek Baranowski, Zygmunt Paściak i Tadeusz Kaczkowski. W czasie okupacji Baranowski i Paściak wstąpili do Bahnchutu (straż kolejowa), a Kaczkowski do Gestapo. O tym wspominała Marysia Korneluk w nr 4 Zeszytów.

Pani Karolina Lanckorońska w „Wspomnieniach Wojennych” wyd. Znak 2001 r. w rozdziale IV „Stanisławów” opisuje swoje przyżycia w więzieniu podległym szefowi stanisławowskiego gestapo Hauptsturmführerowi SS Hansowi Krugerowi. W tym więzieniu oprawcami byli bracia Zdzisław i Tadeusz Kaczkowscy i kilku innych tłumaczan, którzy służyli w Sicherheitsdienstpolizei.

Późnym popołudniem dotarliśmy do Strychaniec, znaleźliśmy gospodarza, u którego mieszkał Czesio. Wieś czysto ukraińska, gospodarz zamożny sądząc po zabudowaniach, gościnny. Jednak był mocno zdenerwowany, wciąż powtarzał: U nas dzieją się straszne rzeczy. po co żeśmy przyszli, Rzeczywiście ukraińscy nacjonaliści zaczęli mordować i dosłownie obdzierać ze skóry byłych komsomolców i ludzi związanych z sowiecką władzą. To był okres wycofywania się wojsk radzieckich. Przez wieś przechodziły gromady żołnierzy, którzy uciekali z sowieckiej armii. Byli to prawdopodobnie zmobilizowani mieszkańcy ziem wschodnich. Czesio wracając z młyna ledwie uciekł z życiem. Nie wiedział dlaczego zaniechali za nim pościgu. Cały czas było słyhać dochodzące z oddali bardzo głośne wybuchy z kierunku Stanisławowa. Prawdopodobnie były to wysadzane magazyny z amunicją. Następnego dnia gospodarz powiedział nam, że tej nocy musimy uciekać w kierunku Stanisławowa, ponieważ pytano go czy Polaczki jeszcze u niego są. Tej nocy Lidzia spała z Gospodynią a my w stodole.

Gospodarz pozamykał bramy, główną i wychodzącą na pole. Psy zostały spuszczone z łańcuchów. Podobnie jak my, gospodarz też nie spał. Chodził po podwórzu i nadsluchiwał. Był zdenerwowany. Przyszli, zastukali bardzo mocno do bramy. Zrobił się ruch, psy zaczęły ujadać. Gospodarz nie otworzył. Powiedział, że my uciekliśmy jak się ściemniło. Proszę mi uwierzyć, długo nie udało się nam uspokoić szczęk. Jak później Lidka nam opowiadała, zarówno ona jak i gospodyni, nie mogły zasnąć. Na długo przed brzaskiem, gospodarz przyprowadził Lidkę, odprowadził nas do tylnej bramy (wychodzącej na pole).

Serdecznie podziękowaliśmy mu za opiekę, gościnnie i ruszyliśmy w nieznaną. Już za wsią, idąc pod górę polną drogą wzdłuż lasu, usłyszeliśmy „Stij, chto ide?!” Rzuciliśmy się do ucieczki i skryli w dużych gęstych krzakach paproci. Słyszeliśmy głosy poszukujących nas, które słabły w miarę jak się od nas oddalali. Odczekaliśmy chwilę i szliśmy dalej zmieniając kierunek naszej ucieczki, nie wiedząc dokąd właściwie idziemy. Doszliśmy do wniosku potem rozważając to zdarzenie, że próbujący nas zatrzymać, sądzili, że to była jakaś zwierzyna leśna. Proszę wierzyć, że to jest prawda, a nie starcza koloryzująca zdarzenie, fantazja. Szliśmy dalej polami a pracujących na nich, z zaciekawieniem nam się przyglądającym, pozdrawialiśmy „Boże pomahaj”, W końcu doszliśmy do Tyśmienicy. Jak nam się to uda-

ło, do dziś nie wiem Co by nie powiedzieć, byliśmy uratowani. Droga z Tyśmienicy w kierunku Czortkowa była zatłoczona przez uciekające wojsko, urzędników i ich rodziny. Od krzyżówki w Klubowcach do Tłumacza droga była pusta. Gdy mijaliśmy stację w Pałahiczach żołnierze wysadzali podziemne zbiorniki z paliwem. Wysoko fruwały beczki, które tam się rozrywały i deszcz płomieni spadał na ziemię. Benzyna z baków spływała do rzeczki Brzezinki i tworzyła ścianę ognia, dochodzącą prawie do stawu. To był naprawdę straszny widok.

Przed wieczorem dotarliśmy do domu. Nie pamiętam, czy gospodyni ze Strychaniec dała nam coś do jedzenia na drogę. Głodu nie czuliśmy, wystarczył nam strach. Gospodarz uratował nam życie, narażając się jednocześnie ukraińskim nacjonalistom. Nie dane mi było więcej spotkać tego zacnego człowieka.

Kilka tygodni po naszym powrocie, do miasta wkroczyło wojsko węgierskie, zajmując kwatery. Jak wspominałem Lidka została przygarnięta przez p.Zoubek, która mieszkała przy ul.Słowackiego. Była to duża posesja. Wojsko zajęło też część pokoi u p. Zoubek. Wśród nich był ich dowódca aspirant Miklos. (nie jestem pewny czy je dobrze zapamiętałem) Był przystojnym mężczyzną, średniego wzrostu, brunetem. Pisałem, pisałem, ale do tej pory nie wspominałem, że Lidka była piękną dziewczyną, sympatyczną, powabną, ciepłą. Nic też dziwnego, że spotkanie musiało zaowocować. Lid-

ka zapomniała o Bożym świecie. W tamtym okresie nie miałem z nią kontaktu. Późną jesienią 1941 roku w przebraniu w mundury armii węgierskiej wyjechali samochodem na Węgry.

Jak później Lidzia opowiadała: Czesio jako pijany żołnierz leżał na podłodze, a ona schowawszy włosy pod czapką siedząc między dwoma oficerami, udawała wraz z nimi rozbawione towarzystwo. W ten sposób przekroczyli granicę. Lidka nie wyszła za ukochanego Miklosa. Ten elegancki oficer sprzeniewierzył się Lidce. Wyszła za męża za innego oficera, który usynowił jej syna. Świetnie opanowała język węgierski i pracowała jako tłumacz. Po wojnie pracowała m.in. jako pilot wycieczek i kilkakrotnie była w Polsce. Również brała udział w naszym zjeździe w Karpaczu. Po długiej chorobie zmarła. Niestety daty nie znam. Czesław, jej brat wyjechał na Zachód, ożenił się z Irlandką. Osiedlili się w Kanadzie, gdzie on prowadził warsztat usługowy do czasu póki sił starczało. Dwukrotnie był w Polsce i przez długi czas utrzymywał korespondencję z Krysią Marciniak-Bojczuk. Kilka lat temu korespondencja ustała.

Pan Piotr Dorosz powrócił do kraju, osiedlił się w Bydgoszczy. Pracował w Starostwie. Zmarł w Bydgoszczy.

Pisząc aneks do wspomnień p. Piotra Dorosza chciałem również, na tle ówczesnej rzeczywistości przedstawić zachowania ludzi i dokonywane przez nich wybory postępowania.

Tłumaczenie i Kresowiaczy w szeregach Armii Polskiej Generała Dywizji Władysława Andersa na terenie ZSRR

Janina Białkowska Pactwa
cd

Drugi raz gen. Anders odwiedził obóz w Tockoje 17.11.1941r. W godzinach popołudniowych zarządza na została w sali teatru polowego odprawa wszystkich oficerów 6 Dywizji Piechoty .Do zebranych przemówił gen. Anders. Poruszył drażliwą sprawę ustosunkowania się naszych żołnierzy do ZSRR. Podkreślił konieczność lojalnej współpracy w zakresie potrzeb i organizacji Armii Polskiej, tworzącej się w Związku Sowieckim. Nawiązując do piętrzących się trudności, zwłaszcza w dziedzinie zaopatrzenia i wyposażenia, gen. Anders zwrócił się z apelem o ofiarność i konieczną rezygnację z wielu słusznych uprawnień – w imię dobra sprawy polskiej. Opowiedział o sukcesach polskiego lotnictwa i marynarki w Anglii, oraz zapowiedział przybycie do Rosji Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego. Wiadomość ta, od kilku dni krążąca w obozie w formie pogłoski, została przyjęta z wielkim zadowoleniem.

Dnia 19 listopada gen. Anders przeprowadził inspekcję oddziałów 6 Dywizji Piechoty. Był w magazynie wojskowym, w kuchniach, w świetlicach żołnierskich, wchodził do przyprószonego śniegiem namiotów, ogrzewanych piecykami własnej budowy, do ziemianek.

Rozmawiał z żołnierzami o ich życiu codziennym, o

tym jak sobie radzą z zimnem i szczupłymi kwaterami.

Przyjazd ten był dla żołnierzy nową dawką otuchy i podniety do pracy. Wojsko przekonało się, że jest przedmiotem serdecznej troski ze strony swych czynników kierowniczych.

Trzeci raz gen. Anders przybył do Tockoje dnia 12 grudnia 1941 r. towarzysząc Naczelnemu Wodzowi gen. Władysławowi Sikorskiemu.

Nadszedł wreszcie ów piątek, 12 grudnia 1941 r. Dzień przyjazdu Naczelnego Wodza gen W. Sikorskiego do Tockoje. Każdy żołnierz starał się doprowadzić swój zewnętrzny wygląd do jak najlepszego porządku. Kufajki zamieniono na angielskie mundury, które właśnie nadeszły, a pozostawiono sowieckie czapki, oraz buty chroniące przed silnym mrozem. O godzinie 10 oddziały 6 i 7 Dywizji Piechoty ustawiły się na placu. W kaplicy zebrały się delegacje wszystkich oddziałów i chór 6 Dyw. Piechoty. Naczelnny Wódz oraz towarzyszące mu osoby przybywają saniami. Warta pręży się i prezentuje broń. Sanie zatrzymują się, wysiadają z nich gen Sikorski, gen Anders, dowódcy dywizji, ambasador Rzeczypospolitej Polskiej, zastępca komisarza ludowego spraw zagranicznych - Wyszyński, szef sowieckiego biura informacji - Łozowski, oraz wielu oficerów polskich, angielskich, amerykańskich i sowieckich. Razem około 60 osób. Pada komenda: Bacność! Na prawo patrz! Wojsko zamiera w bez ruchu. Orkiestra gra hymn państwo-

wy.

Wódz Naczelny podchodzi do szeregów, dokonuje przeglądu armii. Uważnie obejmuje żołnierzy swym wnikliwym wzrokiem. W rozpromienionych twarzach, w błyszczących oczach czyta ich najgłębsze uczucia: wierność i oddanie Polsce. Oczy żołnierzy wpatrują się w niego. Widzą siwego, poważnego człowieka, o dostojnej postawie, czują na sobie jego spojrzenie. Widzą w Nim reprezentanta Majestatu Rzeczypospolitej tu, na obczyźnie, o tysiące mil od kraju. Wódz naczelny przemawia! Podkreśla mocno dzielność Żołnierza Polskiego walczącego u boku sprzymierzonych na lądzie, morzu i w powietrzu. Następnie wznosi okrzyk na cześć Anglii, Stanów Zjednoczonych i Z.S.R.R. Orkiestra gra hymny tych państw. Gen. Sikorski wchodzi między żołnierzy i chce z nimi porozmawiać. Żołnierze otaczają Go ścisłym kołem, każdy chciałby być jak najbliżej, utrwalić sobie jego obraz, usłyszeć głos. Toczy się swobodna rozmowa. Wódz częstuje żołnierzy papierosami, a oni czują, że jest ich wodzem, który w ich sercach zostanie na zawsze, a oni będą o nim opowiadać swoim dzieciom i wnukom. Wódz chce zobaczyć warunki życia żołnierzy. Wraz z gen Andersem i innymi zwiedza rejon zakwaterowania pułku, ogląda namioty, ziemianki, idzie do kuchni, próbując gotującej się zupy. W książce kucharskiej napisze potem - „Smakowała mi wasza zupa. Był jej dużo”.

Z kuchni cały orszak udał się do kaplicy. Na dany znak wszyscy zebrani stanęli na baczność. Pierwsi weszli księża, za nimi gen. Sikorski, goście, świta. Chór dywizyjny zaśpiewał „Gaude Mater Polonia”. Proboszcz Dywizji wygłosił kazanie, prosząc Boga o błogosławieństwo dla oręża polskiego i Naczelnego Wodza, po czym zaintonował „Boże coś Polskę”. Wszyscy obecni odśpiewali pieśń w bardzo uroczystym nastroju. Nabożeństwo zakończyło się, a Wódz Naczelny wychodząc z kaplicy zbliżył się do proboszcza i cichym głosem wypowiedział pamiętne ślubowanie, które na prośbę jednego z oficerów napisał własnoręcznie na karcie. Treść ślubowania była następująca: „Bóg patrzy w moje serce. Widzi i zna moje intencje oraz zamiary, które są czyste i rzetelne. Jedynym moim celem jest Wolna, Sprawiedliwa i Wielka Polska. Ku tej Polsce Was prowadzę i z Bożą pomocą, doprowadzę”.

Po zakończeniu mszy św. wszyscy udali się do siedziby 6 Dywizji Piechoty. Wojsko tymczasem przygotowywało się do defilady. Trybuny ustawiono obok kasyna garnizonowego i ozdobiono flagami państw sprzymierzonych. Gen Sikorski rozmawiając z ochotnikami wszedł na trybunę w towarzystwie wiceministra Wyszynskiego i ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej. Obok trybuny, na podwyższeniu zajęła miejsca jego świta.

Rozpoczęła się defilada na czele której szedł gen. Wołkowicki z adiutantem. Za nimi maszerowały pułki piechoty, artyleria, oddziały specjalne. Na końcu znajdowała się 7 Dywizja Piechoty. Wódz Naczelny patrzył i pozdrawiał każdy oddział podniesieniem ręki do czapki. Cieszył się, że już tyle ludzi wyszło z więzień i obozów i znalazło się w szeregach Polskiej Armii. Defilada trwała blisko dwie godziny.

Po godzinnej przerwie odbyła się uroczysta aka-

demia na której przemawiał gen Sikorski. Okrzykom „Niech żyje Naczelny Wódz” nie było końca. Odśpiewano tradycyjne „100 lat”.

Decyzja przesunięcia Armii Polskiej w Z.S.R.R. z rejonu Buzułuk, Tockoje i Tatiszczewo na południe do rejonu Buchara, Taszkient, Ałma-Ata zapadła. Zaraz po Nowym Roku 1942 rozpoczęły się prace przygotowawcze do przesunięcia Dywizji. Wiadomość ta wywołała wśród żołnierzy duże zadowolenie ze względu na lepsze warunki klimatyczne. Pierwsze transporty kolejowe ruszyły z Tockoje w końcu stycznia 1942 roku. Droga prowadziła przez Charków, Aktiubińsk, Aralsk, Ksył Ordę, Taszkient, Samarkandę, Bucharę na wschód, aż do Szachrisabz. Podróż trwała przeciętnie ok. 7 dni. Do Aralska warunki atmosferyczne były ciężkie. Mrozy dochodziły do -50 st. Większość wagonów była nie ogrzewana, bo brakowało piecyków lub opału. Do nowego miejsca postoju, uzbeckiego miasteczka - Szachrisabz Dywizja przybyła w pierwszych dniach lutego 1942 roku. Warunki klimatyczne były tu o tej porze roku znacznie łagodniejsze. Temperatura wahała się od -5 st. w nocy do +5 st. w południe. Później te warunki stawały się o wiele trudniejsze. W maju przeciętna temperatura wynosiła +40 st., a w lipcu osiągała nawet +68 st. Było to przyczyną wielu chorób i śmierci wśród wynędzniałych i wycieńczonych ludzi. 6 Dywizja rozlokowała swoje oddziały w następujących garnizonach: w Szachrisabz mieście zieleni, bezdrzewnym Kitabie, bezwodnym Jakkabagu i upalnym Czirikaczi. Wszystkie te miasteczka są położone w pobliżu rzeki Kaszka Daria, która wypływa z południowo-zachodniego podgórze Pamiru. W dolinie rzeki kwitły w tym czasie łąny czerwonych maków, których było wszędzie pełno, nawet na glinianych, płaskich dachach uzbeckich domów. Niesamowity widok przedstawiały pola, pokryte tymi czerwonymi makami, wśród których Kaszka Daria toczyła chłodne i orzeźwiająco wody przy 70 stopniowym upale. Jedynie w nocy step się ożywiał. Nieraz ćwiczenia żołnierzy odbywały się przy wyciu szakali i hien a kąpiel w rzece przynosiła ćwiczącym żołnierzom wielką ulgę. W maju rozpoczęły się upały. Temperatura pod namiotami przekraczała +50 st. i nie było czym oddychać. W czasie snu wkradały się pod pościel jadowite skorpiony, falangi i śmiertelnie kłuszące pająki - karakurty. Miliony much i komarów dokuczały nie tylko w namiotach, ale na każdym kroku. Rozpoczęły się epidemie chorób: żółtaczkę, malarii, czerwonki, biegunki i tyfusu. Szpitale i izby chorych były przepełnione. Śmierć zbierała obfite żniwo. 23 lipca przybył do Szachrisabz gen. Anders. W ciągu trzech dni odwiedził wszystkie oddziały. Przed ustawionymi w szeregi żołnierzami Generał przechodził bardzo wolno, patrzył w oczy każdemu żołnierzowi i czytał to co każdy z nich miał w sercu i w duszy. Rozumiał je dobrze mówiąc: „Zostawiam u Was część swego serca, kochani żołnierze i zapewnienie wyjazdu”. Żołnierze wiedzieli, że następny raz zobaczą się już na innej ziemi.

Żywność, w którą zaopatrywał się armia pochodziła z dwóch źródeł. Pierwsze źródło stanowiły racje żywnościowe przyznane przez rząd Sowiecki stanowiące podstawę żywienia, a drugie to dostawy angielskich konserw, z których tworzone zapasy. Dostarczanie żywności sprawiało ogromne trudności, dlatego też dosta-

wy udawało się realizować w ok. 70%. Pozostała część żywności przepadała. Składy żywności rozrzucone na dużych przestrzeniach okręgu tashkińskiego sprawiały dla transportu trudności wręcz nie do pokonania. Ponadto rodziny wojskowych jak i rodacy nie mający krewnych w wojsku szukali pomocy i oparcia w Dywizji. W każdym garnizonie obozowało po kilkaset osób, które należało odziać i nakarmić. Żołnierze dzielili się swoimi mizernymi porcjami i kawałkami chleba ze swoimi najbliższymi. W rezultacie wszyscy niedojadali. Garnizonyowe Komitety Opieki Społecznej uruchomiły kuchnie, w których wydawano 12000 obiadów miesięcznie. Bardziej wycieńczonym wydawano dodatkowo chleb. Ponadto wysyłano do kolchozów dla ludności polskiej suchy prowiant i odzież. Broń przeznaczoną dla armii polskiej zabrała armia czerwona na własny użytek. Pełne uzbrojenie otrzymała Dywizja dopiero w Iraku po opuszczeniu terenów Z.S.R.R.

Nadszedł wreszcie sierpień 1942 roku, oczekiwany czas opuszczenia „niehumanitarnej ziemi” Wchodzimy na statek w Krasnowodsku. Najpierw dzieci, kobiety, starcy, potem wojsko. Na statku ścisk nieopisany. Już nie ma gdzie usiąść, a nowi ludzie wciąż napływają. W oczach kierowników maluje się troska. Wszak wiemy ze sobą ludzi wycieńczonych do niemożliwych granic, wychudłych, wygłodzonych, schorowanych, po świeżo przebytej czerwonce, duża część z malarią i biegunką. Gorąco i ciasnota zaczynają się dawać we znaki. Zszargane chorobami serca odmawiają posłuszeństwa. Wraz z nadejściem nocy zaczynają się ataki malarii. Na wpół przytomni ludzie mającą, rzucają się na posłanie, otwartymi ustami chwytają powietrze. Lecz do chorych nie można dobiec, bo ścisk straszliwy, nie można udzielić im pomocy! Na statku było 4000 ludzi. Mijały godziny długie i straszne!

Kilkanaście kilometrów przed brzegiem przeładowano nas na mniejsze statki. Zarządzono aby chorzy pojechali pierwsi i zarezerwowano dla nich pokład. Zdrowi mieli jechać pod pokładem. Zaczęto wywozić chorych. Długim szeregiem ciągnęły się wzdłuż burty ciemne plamy ciał ludzkich. Niektórzy konali. Lekarze mieli tylko jedno zadanie, za wszelką cenę utrzymać pracę serca. Byłe dowieźć, byłe zdążyć na ląd. Pod pokładem działy się dantejskie sceny. Rozpalone piece statku siały żar nie do wytrzymania. Brak było powietrza! Straszliwy

ścisk, ciało przylegało do ciała, pot strugami płynął po twarzach i całym ciele. Mundury były mokre od potu, ludzie ledwie oddychali! Zaświtał ranek! W oddali poczęły majaczyć kontury domów. Maleńki statek przybijał do brzegu. Służba zdrowia już oczekiwała w porcie na nadchodzący transport. Była to lekarka z polskiego szpitala, siostry i sanitariusze. Kilka par noszy niezamordowane wynosiło tych, którzy „wygrali” i zwłoki tych, którym los zamknął powieki u bram nowej przystani. Potem ruszyła reszta. Wycieńczeni, słabi, ale szczęśliwi i radośni! Witaj, Pahlavi, ty pierwszy porcie radości! Bramo na szeroki świat. Jesteśmy w Iranie, a potem do Iraku!

Na zakończenie moich opowiadań, chcę przybliżyć Państwu losy moich Bohaterów, wymienionych przeze mnie na początku tego tekstu, a więc:

Ojciec mój Franciszek Białkowski po zakończeniu wojny i rozwiązaniu Polskiego Korpusu Wojskowego w Londynie nie wrócił do Polski, obawiając się represji ze strony rządu komunistycznego. Przyjął obywatelstwo brytyjskie i pozostał na stałe w Londynie, dokąd w 1958r sprowadził moją Mamę na pobyt stały. Zmarł w 1965 r. w Londynie, gdzie został pochowany. Mama moja wróciła do Polski.

Brat mój Henryk Białkowski walczył w armii gen. Maczka na terenie Normandii i poległ na polu chwały 8 sierpnia 1944r. Pod Caen.

Stryj mój Antoni Białkowski zmarł w Taszkencie.

Stanisław Panachida po zakończeniu wojny nie powrócił, lecz osiedlił się w USA, założył rodzinę i mieszka tam do dnia dzisiejszego.

Władysław Urbaniak(Junior) poległ na polu chwały pod Monte Cassino.

Jacek Sobczak, Mikołaj Łuczasty, Stanisław Skowroński, - ich losy nie są mi znane.

Zbigniew Sokołowski zmarł w Taszkencie.

Stanisław Kochański walczył pod Monte Casino, a po zakończeniu wojny nie wrócił do Polski, - zmarł w Anglii.

Cześć ich pamięci!

P.S. Moim skromnym życzeniem, a także pytaniem, które kieruję do Czytelników Zeszytów Tłumackich: czy ktoś z Państwa brał udział w działaniach Armii W. Andersa? Jeżeli tak, to proszę o parę słów na ten temat skierowanych na adres redakcji.

Z życia Tłumaczan

Sentymentalna podróż na Kresy Południowo Wschodnie

Podróż na Kresy planowaliśmy już od dawna. Dla mnie jak i dla moich kuzynek oraz kuzynów ze strony ojca, było to wielkie marzenie – zobaczyć Bohorodyczyn – rodzinną wieś naszych rodziców, wziąć garstkę ziemi z domowego ogrodu, odnaleźć groby bliskich, zapalić znicze.

Z naszych bliskich i znajomych, którzy mogli nam jeszcze pokazać, gdzie stał rodzinny dom, poprowa-

dząc po okolicy, została jedynie ciocia Paulina Markiewicz-Szymczak z domu Wójcik, siostra mego ojca - Mikołaja. Przez blisko 60 lat nie mogła zdobyć się na to, aby tam pojechać. Pamiętam jak zawsze mówiła „...Tak bardzo chciałabym tam jechać, żeby tylko nie musiała tam nocować...” Nie mogła zapomnieć tych koszmarnych nocy z przed lat. Wreszcie w ubiegłym roku na zjeździe rodzinnym zdołaliśmy ciocię przekonać i wy-

jazd na dzisiejszą Ukrainę - do krainy okrytej lękiem i wielką niewiadomą - stał się realny.

Z entuzjazmem zaczęliśmy przygotowywać się do wyprawy. Współorganizatorem wycieczki był pan Jan Kwiecień, były starosta milicki, którego rodzina też pochodzi z Bohorodyczyna. Niestrudzenie zabiegał by wycieczka doszła do skutku. Niestety ze względów osobistych w tę podróż nie mógł się z nami zabrać.

Wtedy ja musiałam przejąć sprawy organizacyjne. Gotowi stawić czoła niebezpieczeństwu – tak mówiono – jakie miały nas czekać na ukraińskich „bezdrożach”, zaopatrzeni w prowiant w dniu 23 sierpnia 2003 roku wyruszyliśmy autokarem w 6 dniową podróż na Kresy. Wyjechało 29 osób w tym 3, które mogły nam młodym pokazać im znajome strony.

Dzień pierwszy, 23 sierpnia 2003

Z placu przy kościele Andrzeja Boboli w Miliczu pobłogosławieni przez ks. Juliana Maruta z Wierzchowic, ruszyliśmy w daleką drogę. W tym dniu po drodze w planie było zwiedzanie Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach a następnie przejazd do Jarosławia na nocleg.

Dzień drugi, 24 sierpnia 2003

Rano po śniadaniu ruszamy ku granicy. Po kilku godzinach jazdy przekraczamy ją w Korczowej. Szoku kulturowego nie przeżyliśmy. Drogi niezbyt wyboiste, na stacjach benzynowych można płacić kartą kredytową, bandytów nie spotkaliśmy. O tym, że jesteśmy na Ukrainie przypominały nam ugory i stare roczniki samochodów, które wbrew prawom mechaniki jeździły z ogromną szybkością. Nareszcie Lwów. Kwaterunek i chwila odpoczynku w hotelu „Sputnik”. Nie sprawdziły się przedwyjazdowe przestrogi - być może nie dotyczyło to hoteli - była woda, na dodatek ciepła. Nasze pierwsze wrażenia: obdrapane kamienice, kocie łby zamiast asfaltu, ciężarówka (jak z epoki realnego socjalizmu), pędzące na łeb na szyję środkiem jezdni. Muszę dodać - nikt z nas dotąd nie był we Lwowie.

Naszą przewodniczką po Lwowie jest Irena Bogdanowa – przewodnik hotelu „Sputnik” Zwiedzamy Rynek z Ratuszem z czterema studniami oraz z pięknymi zabytkowymi kamieniczkami ze słynną „Czarną kamienicą”. Ogromne wrażenie wywarły na nas freski w Katedrze Ormiańskiej. Jeszcze tego samego dnia, udaje się nam zwiedzić klasycystyczny budynek Opery i Baletu. Mieliśmy także możliwość obejrzenia w nim słynnej kurtyny Henryka Siemiradzkiego.

Wieczorem już na własną rękę niektórzy ruszyli w miasto, by podziwiać jego nocne życie. Okazały „Prospekt Swobody” (dawniej Wały Hetmańskie) to miejsce spotkań mieszkańców Lwowa. Długi skwer wzdłuż którego mieszczą się bary, restauracje i sklepy. Na jego krańcach z jednej strony hotel „Żorż” z drugiej budynek Opery.

Dzień trzeci, 25 sierpnia 2003

Najważniejszym punktem programu było zwiedzanie Cmentarzy: Łyczakowskiego i Obrońców Lwowa. Złożyliśmy kwiaty na grobach słynnych Polaków. Ogromne wzruszenie wywarły na nas mogiły młodocianych obroń-

ców Lwowa, uczniów szkół i studentów uczestniczących w 1918 roku w walkach z oddziałami ukraińskimi. Myślę, że każdy polski turysta we Lwowie, kieruje swe kroki w to szczególne miejsce naszego narodu. Kolejnym etapem zwiedzania jest „Wysoki Zamek”, wzgórze królujące nad miastem. Nie bez małego wysiłku wspinamy się na szczyt, gdzie znajduje się taras widokowy, z którego rozciąga się panorama miasta. U stóp mamy centrum, zaś w oddali widać osiedla mieszkaniowe. Północno-wschodnią część miasta zajmują głównie zakłady przemysłowe z dymiącymi kominami i liniami kolejowymi. Po tej krótkiej przechadzce po Lwowie opuszczamy miasto i ruszamy w drogę przez Halicz do Iwanofrankowska (Stanisławowa).

Po drodze zatrzymujemy się w Rohatynie, aby zobaczyć piękną drewnianą cerkiew greko - katolicką p.w. Św. Ducha. Niestety nie mogliśmy zobaczyć jej wnętrza - cerkiew była zamknięta. Zaskoczeniem dla nas był widok na drodze do Stanisławowa i nie tylko, spacerujących po nich krów i całych stad gęsi. Jak się później okazało wszystkie krowy z okolicy pasie i pilnuje dwu lub trzech pasterzy, którzy na noc spędzają je z pastwiska. Bydło same trafia do swojej obory. Wspominam o tym, bo u nas nie ma tego zwyczaju.

Zbliżamy się do Stanisławowa. Miasto tonie w zieleni. Założone zostało w roku 1661 przez Jędrzeja „Rewerę” Potockiego, kasztelana krakowskiego i hetmana polnego koronnego. Nazwa miasta pochodzi od imienia syna założyciela – Stanisława, starosty halickiego. Kwaterujemy się w hotelu „Prikarpatia”. Standard jak znany nam z przeszłej epoki, hotel robotniczy. Obiady-kolacje i po niej nie odpoczywamy...- idziemy do miasta!. Jest czyste, zadbane z wieloma rusztowaniami. Trwa jego odbudowa. To jedyne miasto w tej części Europy - piękna perła renesansu. Od czasu do czasu spotykamy dziwne pojazdy (beczki), służące do sprzedaży kwasu chlebowego - bardzo orzeźwiającego napoju. Spacerem nad zalewem, słuchaniem muzyki przy kuflu piwa pod gwiazdzistym niebem, wieczór zakończyliśmy powrotem do hotelu.

Długo jeszcze trwały rozmowy, dzielenie się wrażeniami. To miasto potrafi zuroczyć swym pięknem.

Dzień czwarty, 26 sierpnia.

Na ten dzień czekaliśmy z utęsknieniem. Po śniadaniu jedziemy do Bohorodyczyna - rodzinnej wsi naszych przodków. Przed wojną była to duża wieś, liczyła ponad 700 kominów jak to się dawniej mawiało. Domy były drewniane, kryte najczęściej strzechą. Oczami wyobraźni widzimy piękną bohorodczyńską wieś, rozłożoną w pagórkowatym terenie, gdzie nigdzie bagiennym. Rodzinny dom mego ojca miał numer 450. Był położony na malowniczym pagórku, skąd rozlegał się widok na całą okolicę. Taki obraz z opowiadań rodziców pozostał w mojej pamięci. Co zobaczę? Dojeżdżamy do wsi. Przed tablicą z napisem Bohorodyczyn, cieszymy się jak małe dzieci. Zatrzymujemy się. Tubylcy przyglądają się nam z zaciekawieniem. Po pierwszych rozmowach, okazuje się, że wzięto nas za biznesmenów z Polski, którzy przyjechali kupować ziemię. Kiedy dowiadują się, że cel naszej wizyty jest inny, coraz tłoczniej robi się wo-



Spotkanie po latach

koło nas. Witają nas przyjaźnie, serdecznie. Cieszą się z tej niespodziewanej wizyty dawnych mieszkańców Bohorodyczyna. Ciocia Paulina spotyka się z koleżanką z ławy szkolnej Polką, Ludwiką Maksymiuk - Śmigiel. Zabawne, witają, ściskają się przez płot, jak Pawlak z Kargulem. Wszyscy są wzruszeni mają łzy w oczach.

Po pierwszych emocjach rozchodzimy się grupkami - każda w „swoją” stronę. My idziemy oczywiście z ciocią Pauliną tam, gdzie był nasz dom. (został spalony przez banderowców w 1944 roku).... Po gospodarstwie została jedynie studnia, z której pijemy orzeźwiająca, zimną i smaczną wodę. W dawnym przydomowym zdziczałym dzisiaj sadzie, rwie my śliwki węgierki o jakich wiemy tylko z opowiadań, że były pyszne – konfrontujemy to z rzeczywistością. Och niedowiarki! Były takie właśnie, o jakich nam mówiono, a na dodatek nie miały robaków. Próbuje nabrać trochę ojczystej ziemi i dopiero z pomocą znalezionej hełmu, udaje się nam zabrać suchą bryłę ziemi na pamiątkę. Pożegnaliśmy po-

zostałość naszej niegdyś rodzinnej posiadłości i udajemy się na cmentarz. Ten - zarośnięty, gęstwiną krzaków, chaszczki i drzew - nie robi wrażenia, że to cmentarz. Próbuje jakoś pokonując roślinność znaleźć groby. Czas zrobił swoje. Drewniane krzyże zbutwiały, groby pozapadały się, tylko gdzieś ostał się jakiś pojedynczy grób. Naszych niestety nie udaje się nam znaleźć. Tu, przez wiele lat niepodzielnym strażnikiem była przyroda i ona otuliła swoim płaszczem prawie wszystko co tu było. Nieco dalej od cmentarza był drugi jeszcze z czasów z przed I wojny światowej. Na nim grzebano zmarłych na tyfus w czasie pomoru. Tam byli pochowani rodzice mojej stryjenki Ludwika. Po tym cmentarzu nie pozostało dosłownie nic. Równina przypominająca step porośnięta wysoką trawą.

Przywiezione z Milicza znicze zapaliliśmy na beziemiennym stepie- cmentarzu oraz na wspólnej mogile krewnych i sąsiadów naszych dziadków pomordowanych w dniu 19 marca 1944 przez banderowców. Leży tam m.in. zamordowana siostra dziadka Józefa Wójcika – Rozalia Okniańska. Tu spotykamy Polski akcent. Obok spalonego kościoła w 1944 roku, po którym pozostał tylko fragment ściany, stoi krzyż misyjny z 1936 roku. Jest to nowy krzyż. Poprzedni został ścięty i zanieiony na stary cmentarz, gdzie powoli obraca się w próchno.

Z krzyżem wiąże się zdarzenie, które powtarzam za obecnymi mieszkańcami Bohorodyczyna.

We wczesnych latach 70-tych ówczcześni decydenci postanowili krzyż usunąć. Znalazł się gorliwy wykonawca. Jednak niedługo po tym fakcie, jadąc na motocyklu uległ wypadkowi w wyniku czego zmarł. Mieszkańcy doszli do wniosku, że jest to „kara Boża” i postanowili postawić nowy krzyż. Na nim umieszczono dawną tabliczkę z okazji misji w 1936 r.

Byliśmy też w cerkwi greko-katolickiej, którą opiekuje się p.Kwasiuk, krewna mojej koleżanki z Milicza. Złożyliśmy na jej ręce datki, za które dziękowała. Obok cerkwi na cmentarzu spoczywa siostra mojej babci - Ma-



Krzyż misyjny z 1936 roku, z lewej fragment ściany dawnego kościoła

rii Wójcik, która wyszła za mąż za Ukraińca i tam została (zmarła po wojnie). Żyje tam jeszcze jej syn Michał z żoną, która nagotowała pysznych ruskich pierogów dla całej naszej wycieczki. Żal było opuszczać ludzi, którzy byli nam życzliwi, ugościli nas a na pożegnanie przepraszała za wszystko co złego uczynili Polakom ich rodacy a może i krewni, którzy kiedyś tam obok nich mieszkali. Żegnając nas mówili "Kłaniamy się całej Polsce, pozdrawiamy was wszystkich, przyjeżdżajcie do nas!" Wracamy do Stanisławowa gdzie długo trwały rozmowy o tym co było. Nie byłam zaskoczona tym z czym się spotkałam. Wiedziałam, że wieś ukraińska jest biedna. Jedno co mnie przeraża to dachy domów pokryte rakotwórczym eternitem i te hektary odłogów - ziemi z którą tubylcy nie wiedzą co zrobić, bo nie mają jej czym uprawiać. Wydaje mi się, że kolchozy jeszcze dotąd nie wszędzie rozwiązano. Widzieliśmy jak wyjeżdżający kombajn utknął w bramie, bo się zepsuł. „Nasza „wieś jest zgazyfikowana, zadbana, czysta. Dużo kaliny i rokitnika zieleni się wszędzie. Nie jest już tak liczna jak niegdyś, bo ma zaledwie 180 numerów. Gdzie jej do tej dawnej, liczącej ponad 700 chat.

Wszystkich uczestników wycieczki poruszył zaniebdany i zarośnięty skrawek ziemi, który kiedyś był cmentarzem, z dziś nadzorującym go strażnikiem - przyrodą. Tu zrodziła się myśl, aby upamiętnić nazwiska pomordowanych Polaków przez nacjonalistów ukraińskich i ufundować tablicę-pomnik, w naszej nowej Ojczyźnie, pamięci tych wszystkich, którzy tam pozostali w swojej ziemi, ziemi ich i naszych przodków.

Dzień piąty, 27 sierpnia 2003

Dzisiaj zwiedzamy Stanisławów, korzystając z pięknej pogody (ta towarzyszyła nam stale w czasie naszego pobytu). Dużo straganów na ulicach, gdzie można kupić wszystko - no - prawie wszystko. Jak wspomniałam, miasto jest w generalnym remoncie. Niektóre jego ulice jak n.p. Sapieżyńska reprezentacyjna ulica miasta kiedyś i teraz, obecnie zamknięta dla ruchu, jest wizytówką tego naprawdę pięknego i zielonego miasta. Jesteśmy nim oczarowani. Przy wielkim placu, gdzie obok siebie znajdują się: cerkiew; dawne II gimnazjum, w którym nauki pobierał Franciszek Karpiński, w głębi kościół (dawniej Fara dziś Muzeum), gdzie prawdopodobnie odbył się pogrzeb Michała Wołodyjowskiego, a w tle w głębi widać nowy Ratusz. Robimy zdjęcia i przechodzimy na pl. Mickiewicza by pod jego pomnikiem też uwiecznić nasz pobyt. Jeszcze rzut oka na stojący obok budynek stanisławowskiej Opery...- tak, tak, miało to miasto niegdyś taki przybytek i żegnamy ten naprawdę piękny gród.

Jedziemy przez Majzle (dzielnica Stanisławowa) Tyśmienicę, do Oknian. Tu znowu pierwszeństwo mają krowy. Okniany - mała wieś rodzinna, jednego z naszych wycieczkowiczów Fredka Zakowicza. Zatrzymaliśmy się przed małym drewnianym kościółkiem (w nim chrzczony był p.Fredek). Jest remont tej świątyni i musimy uważać wchodząc do jej wnętrza. Pracujący tam mieszkańcy remontują go na świątynię greko-katolicką, aby nie chodzić do innych miejscowości na nabożeństwa.

To był dawniej kościół parafialny w Tłumaczu. W

1874 roku po zdemontowaniu przewieziono go do Oknian, gdzie go zmontowano na nowo. Do połowy lat 40 tych ub. wieku, służył katolickiej społeczności Oknian i okolicy. Któryś z mieszkańców przyniósł niekompletną tablicę kamienną z napisem: „Pamięci Anny z Jaguszów-Zakowicz”, zabrał ją zpowrotem. Jedziemy dalej, gdzie były zabudowania gospodarskie i dom rodzinny p.Fredka. Zajechaliliśmy do zakątka, który można by określić „końcem świata”. P. Fredek po studni poznaje drogę wjazdową do swego dawnego domu... Zadumał się, otarł oczy nic nie mówi, (dalej jakby się bał). Powiedział jedynie: „...Dali nam trzy dni na opuszczenie domu, a jeśli nie to spalą i zabiją...”. Jeszcze robi pamiątkowe zdjęcie i dalej - ruszamy w drogę przez Tłumacz i Oberbyn, które oglądamy z okien autokaru. Jedziemy do Kółmyi, gdzie robimy dwu godzinną przerwę. Tu każdy na swoją rękę zwiedza miasto: ładne, zadbane, o różnej architekturze. Stare polskie domy, domy w stylu huculskim (wszak to kolebka huculszczyny) duży ruch, restauracja chińska, mnogość reklam tu widać postępy i wpływ Zachodu.. Na budynku przypominający dworek szlachecki tablica „Wieszczowi Narodu - Zygmuntowi Krasińskiemu w 100 rocznicę urodzin - Rodacy”. Tu ma swą siedzibę Uniwersytet Przykarpcki. Odwiedzamy muzeum pisanki, z podobno największą pisanką na świecie. Kupujemy upominki by nimi obdarować najbliższych po powrocie do kraju.

Jeszcze musimy dotrzeć do wsi Słobódka, gdzie krewnych chce odwiedzić uczestnik naszej wyprawy p. Stanisław Jasięga. Trochę błądzimy, ale w końcu docieramy do celu. Pan Stanisław znajduje krewnych przekazuje przywiezione upominki, robi pamiątkowe zdjęcie i obdarowany przez krewniaka „Pszeniczną” wraca do autokaru. Wracamy do Stanisławowa - naszej bazy noclegowej. Im bliżej celu, tym weselej dzięki pokrzepianiu się „Pszeniczną”.

Dzień szósty, 28 sierpnia 2003

To już ostatni dzień naszej podróży. Ciągłe trwają rozmowy wymiana wrażeń, wracamy do kraju. Jedziemy w kierunku doliny Dniestru, podziwiając piękne krajobrazy. Jesteśmy we wsi Krechowa. Zatrzymujemy się przed cerkwią w centrum wsi. To rodzinne strony dwu sióstr, które z nami podróżowały, oraz ks. Juliana proboszcza z Wierzchowic. Mała wioska. Udajemy się do cerkwi, w której kończy się nabożeństwo - dziś dzień Matki Boskiej Zielnej. Rozmawiamy ze starszymi mieszkańcami wioski. Okazuje się, że to nie ta rodzinna wieś naszych współuczestniczek podróży. Tamta została spalona a jedynym śladem po niej to zarośnięty i opuszczony stary cmentarz. Stara wieś Krechuwka była w innym miejscu. Dzięki uprzejmości tubylca, który staje się przewodnikiem i pomógł nam dojść do tamtej, kiedyś istniejącej wioski, autokar dojeżdża do końca drogi i zatrzymuje się pod rozłożystą gruszą. Większość uczestników wycieczki idzie za przewodnikiem. Przez burzany, krzewy, wysokie trawy, docieramy do rzeczki, którą pokonujemy przechodząc po zwalonej kłodzie jak po kładce na drugą stronę. Przechodzimy spory szmat drogi nim dotarliśmy do miejsca, gdzie z zarośli wynurzają się dwa krzyże. Jeden stoi, drugi podparty - niesamowity widok. Podobno jakiś leśniczy ze Stryja postawił ten drugi krzyż. To

tu była kiedyś wioska i cmentarz. Nic poza tymi dwoma krzyżami nie pozostało. Banderowcy spalili ją, jak wiele innych. Niewiele osób ocalało. Dziś to puste miejsce, przez które hulają wichry. Pod krzyżem zapalamy znicze i odmawiamy modlitwę. Wszyscy płaczą, nie można przejść obok tego bez wzruszenia.

Zmęczeni niemiłosiernie, okurzeni ale i szczęśliwi, że spełniliśmy nasz chrześcijański obowiązek, dziękujemy tubylcom, dzięki którym tam dotarliśmy. Opuszczamy tę miejscowość.

Przed nami w drodze do Stryja, jeszcze jedna wieś Machliniec. W niej zatrzymujemy się na chwilę. Tu w miejscowym kościółku, rodzice jednej z naszych wycieczkowniczek brali ślub. Gromadkę dzieci nas otaczających częstujemy cukierkami a w podzięce słyszymy „danke”. Nie komentujemy tego, wsiadamy do autokaru i ruszamy. Jedziemy powoli. To nic, że już są przed-

mieścia Stryja. Naszą jazdę w zwolnionym tempie powodują wszechobecne na drodze krowy. Stryj mijamy nie zatrzymując się w nim. Docieramy do Sambora. Tu jeszcze małe zakupy, pozbywamy się niepotrzebnych już nam hrywien.. Mąż mojej kuzynki wpada do rodziny swojej matki, zostawia „upominki”, a wrażeniami z tej wizyty dzieli się w drodze ku granicy. Dojeżdżamy do Medyki i tu kończymy naszą sentymentalną podróż.

Helena Sobańska

PS. Zawsze dziwiło mnie powiedzenie ciotki Pauliny. „Helena ty jesteś nasza...” Teraz wiem i to rozumiem.

Pamiętajmy o swoich korzeniach! Największy Dar jaki rodzice mogli nam przekazać, to korzenie i skrzydła. Korzenie odpowiedzialności i skrzydła niezależności. H.S.

Drodzy Tłumaczanie

Miło jest nam powiadomić, że nasza koleżanka Anna Bocheńska została Odznaczona Srebrnym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Medal przyznała Rada Ochrony Pamięci, Walk i Męczeństwa w Warszawie, a wręczył go 06.11.2004 r. wojewoda woj. dolnośląskiego Stanisław Janik w Klubie Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu.



Gratulujemy



SIEDLAKOWICKI ODPUST

Ostatnia niedziela lipca w tym roku przypadła 25 dnia miesiąca. Dzień szczególny dla mieszkańców Siedlakowic i Mirosławic, ale też i dla nas nielicznej co prawda grupie, ale biorących udział w tej uroczystości dawnych mieszkańców Tłumacza - niedziela odpustowa w kościółku filialnym parafii Zachowice - gdzie znajduje się obraz św. Anny Samotrzeciej z Tłumacza.

Kiedyś dawno, dawno temu, tam na Kresach w powiatowym mieście Tłumacz to był prawdziwy odpust. Odbывał się nie jak teraz, w ostatnią niedzielę lipca, lecz niezmiennie 26 lipca bez względu na to jaki to był dzień tygodnia. Tumult, gwar, pieszczony różnorakich kogucików, fujarek, huk korkowców z jednej strony i przelewający się niczym rój pszczoł tłum wokół wielu kramów, jakie na ten dzień rozstawiali handlarze. Te bajecznie kolorowe kramy obwieszane różnościami, nadały specyficzny urok temu świętu. To było kiedyś, dawno, dawno temu...

Dzisiaj w Siedlakowicach, maleńkiej wiosce przytulonej do krajowej drogi prowadzącej do Wałbrzycha, znajduje się mały kościółek, rozbudowany z dawnej kaplicy przydworskiej. W nim, po tułaczce w pierwszych la-

tach powojennych, znalazł się obraz św. Anny Samotrzeciej z głównego ołtarza, kościoła parafialnego w Tłumaczu. Niestety tu kramarze nie przyjadą. Zbyt mała to miejscowość, przyjazd nieopłacalny. To nic, to nam odpustowiczom nie przeszkadza. Jak co roku od wielu lat, dzisiaj też wśród miejscowych parafian są też dawni tłumaccy parafianie (wielbiciele św. Anny). Jest nas niewielka, z roku na rok coraz mniej liczna grupka. Jednak są. Niektórzy o kulach, z trudem idący, inni podpierający się laską, ale podążają za głosem serca, by spotkać się św. Anną w Jej Dniu, u stóp której kiedyś byli chrzczeni, bierzmowani, brali ślub, lub poprostu się modlili.

Dzień, jak zwykle bywa w tym świątecznym dniu, był upalny. To jest ewenement, bo jak wieść niesie w tym dniu zawsze była pogoda, a w czasie wojen podczas odpustu obcych wojsk nie było w Tłumaczu.

Ten mały Siedlakowicki kościółek, odświętnie udekorowany na ten dzień, z roku na rok pięknieje. Parafianie ciągle go doposażają. W tym roku położono nową posadzkę.

Mszę św. odprawiał ks. Wojciech Zmysłowski z Nowej Rudy. Witając zgromadzonych szczególnie ciepło

przywitał nas, dawnych tłumaczan. Wspomnił, że kult do św. Anny jest szczególny. Dowodem tego jest nasza coroczna obecność na Jej święcie. W wygłoszonej homilii główny akcent położył na znaczeniu kultu dla Matki. Jej wpływ na rodzinę, w której jest ostoją spokoju, dobroci i miłości, łączy i jednoczy. Po nabożeństwie odbyła się procesja wokół kościółka. Na zakończenie ks. Proboszcz Stanisław Kulig dziękował parafianom za dekorację świątyni, za prace przy kościele. Nam tłumackim odpustowiczom dziękował za udział i życzył spotkania w przyszłym roku. Na zakończenie nabożeństwa odśpiewano „Boże coś Polskę”.

Tej niedzieli imieniny obchodził Krzysztof. Z uwagi na to, że św. Krzysztof jest patronem kierowców, po uroczystościach odpustowych ks. Proboszcz Stanisław Kulig poświęcił pojazdy którymi przyjechali odpustowicze. Nie szczędził przy tym kropidła, jakby chciał ochłodzić rozgrzane palącym słońcem karoserie samochodów.

Tym razem nie było poodpustowego pikniku. Po krótkich pogwarkach tłumaczan pożegnaliśmy się, życząc sobie tak potrzebnego zdrowia z hasłem - do zobaczenia na tradycyjnym oplatku w styczniu 2005.

Jerzy Czyżycki

Komunikaty

Spotkanie Oplatkowe w 2005 roku odbędzie się w dniu 12 stycznia (środa).

Msza św. która poprzedzi spotkanie zostanie odprawiona o godz. 11⁰⁰ w kościele św. Stanisława, Doroty i Wacława przy pl. Wolności 3 (obok Opery)

Po mszy o godz. 13⁰⁰ w Restauracji BANKOWA przy ul. Dąbrowskiego 44 spotykamy się na Oplatku. Koszt (15 zł)

Ze względów organizacyjnych prosimy zgłoszenie udziału do dnia 8 stycznia 2005r.

Zarząd

Informujemy wszystkich członków Oddziału, że doroczne wczasy w Kołobrzegu odbędą się w okresie 30 maja do 12 czerwca 2005r. włącznie.

W związku z tym chcący uczestniczyć w nich, zobowiązani są do złożenia pisemnego zgłoszenia uczestnictwa na adres Zarządu w nieprzekraczalnym terminie do 15 lutego 2005r. Taki termin został wyznaczony przez Dyrektora ZBR i jego dotrzymanie gwarantuje zakwaterowanie.

Mając powyższe na uwadze prosimy o dostosowanie się do tego wymogu.

Zarząd

W przyszłym roku mija 4 letnia kadencja władz naszego Oddziału.

Zgodnie ze statutem Zarząd zwołuje zebranie wyborcze Oddziału, które odbędzie się w dniu 8 czerwca 2005 o godz. 14³⁰ w pierwszym a w drugim terminie o godz. 15⁰⁰ w Ośrodku wczasowym w Kołobrzegu w celu wyboru nowych władz Oddziału.

Zarząd

Nasz stały prenumeratorem i autor wielu artykułów Stanisław Fudali, wydał książkę pt. OSIEMDZIESIĄT MIESIĘCY W KLESZCZACH SIERPA I MŁOTA, oraz tomik wierszy pt. KWITY BURZ, zwrócił się z prośbą o opublikowanie tej informacji. Koszt publikacji książki 36 zł+ 5 zł wysyłka – wierszy 18,50 (15 + 3,50 porto) Wszelkie informacje na ten temat oraz zamówienie, proszę kierować na adres:

Stanisław Fudali
ul. Seledynowa 34 m 6
70-781 Szczecin
tel. (091) 463 10 71
e-mail: fudalist@avanti.net.pl

Pisz o nas:

W czasopiśmie historyczno - publicystycznym „NA RUBIEŻY” w nr 76/2004r. wydawanym przez Stowarzyszenie pamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, zamieszczono część 2 str: 39 - 54 (cz.1 nr. 32/1998 s.27 - 39,) dokumentów, dotyczących ludobójstwa dokonanego na ludności polskiej, przez terrorystów ukraińskich spod znaku OUN - UP A w latach 1939 -1945 w powiecie Tłumacz, województwo Stanisławów.

Zainteresowani mogą nabyć ten numer w SUOZUN ul.Oławska 2, 50-123 Wrocław tel. (071) 343 49 23

† Odeszli †

W dniu 3 maja 2004 r. w Gliwicach zmarł

KAZIMIERZ BARANOWSKI

Zgodnie z swoją wolą został pochowany w Głubczycach.
Rodzinie serdeczne wyrazy współczucia składają Tłumaczanie

Po długiej chorobie 31 maja 2004 r. zmarł w Krakowie przeżywszy 89 lat

ZYGMUNT BONIOWSKI

Rodzinie wyrazy serdecznego współczucia składają Tłumaczanie

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że w dniu 18 lipca 2004r. przeżywszy 97 lat,
odszedł na wieczną wartę nieustrudzony „archiwista” tłumackich dziejów

dr MICHAŁ NIKOSIEWICZ

Szczerze kondolencje Siostrzenicy składają Tłumaczanie

W dniu 15 sierpnia 2004r. odszedł nagle nasz tłumacki kolega

CZESŁAW LANER

ur. 21.03.1929 r.

Pograżonej w żałobie Rodzinie serdeczne wyrazy współczucia. składają
Koleżanki i koledzy z Tłumacza

16 września 2004r. zmarła najstarsza mieszkanka Jackówki
- przedmieście Tłumacza - jedna z opiekunek św. Any Samotrzeciej
w Siedlakowicach,

WERONIKA KŁAPKOWSKA

przeżywszy 89 lat.

Łącząc się z pograżoną w smutku Rodziną, serdeczne wyrazy współczucia składają Tłumaczanie

Z żalem zawiadamiamy, że urodzona w Tłumaczu w 1923 r.

HELENA KŁONOWSKA

zmarła w dniu 28.09.2004r.

Wyrazy głębokiego współczucia całej Rodzinie składają Tłumaczanie

W Koszalinie zmarła w dniu 3 października 2004r. przeżywszy 74 lata

KRYSTYNA RAJEWSKA-BILIŃSKA

Rodzinie szczerze wyrazy współczucia składają Tłumaczanie

Z żalem zawiadamiamy, że w dniu 21.10.2004r. w wieku 74 lat zmarł

TADEUSZ PELIKAN

Odszedł kronikarz Tyśmienicy, autor wielu publikacji w ZT
Pograżonej w smutku Rodzinie, wyrazy współczucia składają Tłumaczanie

Lista Ofiarodawców za II półrocze 2004

Barbara Woroszczuk	Wrocław	17	Tadeusz Szmyd	Kraków	17
Ryszard Macek	Warszawa	25	Józef Pławuszewski	Jeż. Sudecki	2
Władysław Hapoński	Lublin	67	Barbara Borkowska	Łomianki	20
Anna Korczowska	Gliwice	67	M. Lisowski	Anglia	11
Stanisław Mierzwiński	Gliwice	67	Rudolf Woroszczuk	Lublin	67

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania !

Spis treści

Okładka: Dr Michał Nikosiewicz	
Okładka wewn. Życiorys w fotografiach	
Życzenia Świąteczne	1
Wigilia, czyli polska szkoła geografii	2
Wspomnienie o doktorze	3
Kresowi Ormianie	4
I. Pamiętne Ważne Rocznice	
65 rocznica „4 rozbioru Polski”	5
Sprawa honoru	7
Z pomocą walczącej Warszawie	9
Rocznica wojny polsko - ukraińskiej	10
II. Tłumacz w latach wojennych 1939 - 1945	
Aneks do wspomnień Piotra Dorosza	12
Tłumaczenie i kresowiaczy w szeregach Armii Polskiej	15
III. Z życia Tłumaczan	
Sentymentalna podróż na Kresy Południowo Wschodnie	17
Drodzy Tłumaczenie	21
Siedlakowski odpust	21
Komunikaty	22
IV Odeszli	
Nekrologi	23
Okładka wewn.	
Errata	
Tłumacz wczoraj i dziś	
Okładka zewn. Współczesna mapa Tłumacza	

Nasz Kwartalnik jest dofinansowany przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.
Za dotację serdecznie dziękujemy.

Redaguje zespół w składzie: Elżbieta Niewolska - redaktor naczelny, zastępca Danuta Tabińska-Juhasz, Anna Panachida-Bocheńska, Helena Bilińska, Adam Biliński
Adres Redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-076 Wrocław, ul. Ruska 32/33, lp. tel./fax 071/ 344-88-93, <http://zeszyty.tlumackie.w.interia.pl>
Konto Bankowe: PKO-BP SA I O/Wrocław 02 1020 5226 0000 6602 0056 7586
Skład i Druk: Czyżycki Jerzy i Maciej ul. Przyjaźni 77/3, 530-30 Wrocław
Drukarnia RAPID - Wrocław, tel. (071) 348-37-86, www.iwanicki.pl

**Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przesyłane nam zdjęcia lub widokówki.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno - językowych.**

Uwaga! Cena rocznej prenumeraty na rok 2005 ZT wynosi 15 zł.

Errata

Okl. str. 2 kol. 1 wiersz 17 od dołu	gwieździsta	gwiaździsta
Okl. str. 2 kol. 1 wiersz 13 od dołu	kaletnica	kalenica
Okl. str. 2 kol. 1 wiersz 5 od dołu	festung	Festung
str. 3 kol. 1 wiersz 13 od góry	nadwyraz	nad wyraz
str. 3 kol. 1 wiersz 25 od góry	oblaski	obląści
str. 3 kol. 1 wiersz 13 od dołu	Kołomia	Kołymie
str. 3 kol. 2 wiersz 28 od dołu	pracę	prace
str. 3 kol. 2 wiersz 15 od dołu	przedewszystkim	przede wszystkim
str. 4 kol. 1 wiersz 17 od góry	częściowo	częściowo
str. 4 kol. 1 wiersz 22 od góry	czyniłą	czyniła
str. 4 kol. 1 wiersz 23 od dołu	Dywyzji	Dyvizji
str. 4 kol. 1 wiersz 13 od dołu	zaopatrywaniach	zapatrywaniach
str. 4 kol. 2 wiersz 1 od góry	Niedalego	Niedaleko
str. 4 kol. 2 wiersz 12 od góry	Poraz	Po raz
str. 4 kol. 2 wiersz 19 od dołu	obuwia	obuwia,
str. 5 kol. 2 wiersz 26 od góry	czynią	czynią.
str. 5 kol. 2 wiersz 12 od dołu	Krośniewic	Krośnic
str. 5 kol. 2 wiersz 1 od dołu	Staniław	Stanisław
str. 6 kol. 1 wiersz 28 od góry	Przewodnicząc	Przewodniczący

str. 6 kol. 1 wiersz 21 od dołu	Stanisławowi Uglisowi	Stanisławie Uglis
str. 6 kol. 2 wiersz 3 od góry	Rad:	Rady
str. 6 kol. 2 wiersz 5 od góry	30	130
str. 5 kol. 2 wiersz 7 od góry	z krzyżem,	z krzyżem.
str. 6 kol. 2 wiersz 7-8 od góry	którego głównym fundatorem	Głównym fundatorem krzyża
str. 8 kol. 2 wiersz 26 od góry	uczestnicy uroczystości	uczestniczący w uroczystości
str. 15 kol. 2 wiersz 17 od góry	Kluszynem	Kaluszynem
str. 18 kol. 2 wiersz 19 od góry	TUZNU	SUOZUN
str. 23 kol. 1 wiersz 18 od dołu	Władyst Rzuciolto	Władysław Rzucidło
str. 23 kol. 1 wiersz 17 od dołu	Malesska	Małęcka
str. 23 kol. 1 wiersz 12 od dołu	Była	Hyla
str. 23 kol. 1 wiersz 11 od dołu	Władyst	Władysław
str. 23 kol. 1 wiersz 10 od dołu	Jonson	Johnson
str. 23 kol. 1 wiersz 1 od dołu	Starożenko	Storożenko
str. 23 kol. 2 wiersz 17 od góry	Starożenko	Storożenko
str. 24 wiersz 17 od góry	Jarzy	Jerzy
str. 24 wiersz 4 od góry	zwaracamy	zwracamy

Za błędne podanie nazwisk oraz niedoskonałą korektę serdecznie czytelników przepraszamy

Redakcja

Informujemy, że w Kalendarzu Kresowym na 2005 r. wydanym przez Fundację Kresową „Semper Fidelis” miesiąc listopad został poświęcony miastu Tłumacz

Tłumacz wczoraj i dzisiaj

Ukazał się kolorowy plan m. Tłumacza, który mamy przyjemność zamieścić w niniejszym numerze. Został wydany przez „Istoria-Kultura-Turizm” TOB „Nasz Swit” w Tarnopolu, nakład 5.000 egz. Autorami tekstu są: Michajło Dzeman, Pawło Sowa, Nadia Cikajło, Roman Kaszczuk. Ograniczyliśmy jego format do planu miasta, nie uwzględniając ani zamieszczonych zdjęć niektórych obiektów dawnych i współczesnych, oraz reklam jak też szkicu historycznego W okresie od 1917 r. do 1939 r., jak piszą współcześni jego „historycy” niby było, ale pod czujnymi rządami nie napisano. No cóż, historię pisze się tak, jaka jest obecnie „modna” a nie jaka naprawdę była. To stara znana prawda.

Z przyjemnością zauważamy, że nasze miasteczko rozrosło się, przybyły nowe dzielnice. Obecnie dawne „Chatki” z kilkoma domami przy drodze do Nadorożnej, dzisiaj to duża nowa dzielnica. W mniejszym stopniu rozbudowała się przeciwna strona. Nie ma dawnej enklawy żydowskiej i niektórych domów w starym Tłumaczu. Na ich miejscu wybudowano nowe, różnego przeznaczenia domy i obiekty. Obwodnica na Horoden-

kę biegnąca od stawu za Słobudkę i dalej koło Jackówki, uwolniła miasto od ruchu tranzytowego.

Informując o wydaniu planu miasta, podajemy nazwy dawnych obok dzisiejszych, ważniejszych ulic:

Słowackiego - Hruszewskoho,

Pierackiego - zaczynała się od Słowackiego w górę w kierunku do Nadorożnej,

3-go Maja- od „Sokoła” do domu Makucha dzisiaj to jedna ulica - Wmniczenka,

J. Piłsudskiego od domu Makucha do mostku na Tłumaczyku, podzielono na: Makucha od jego domu do ul. Szewczenki, i na Karmeluka - od Szewczenki do mostku na Tłumaczyku,

Jana III Sobieskiego - Lermontowa,

Jagiellońska - Kobyłańska,

Koliniecka - Szewczenka,

Ks. Sawy - zelena,

Plebańska-Plebania,

Cmentarna - Chrielnickoho,

Zagrabie - Zagreblia.

Planu nie można, niestety, kupić w Polsce.

Czynimy starania, by uzyskać pewną ilość egzemplarzy dla członków Oddziału.

